Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 14 marca 1937 r. Nr. 11

CZEMU?...

O, dniu powszedni! Idziesz leniwo,
Jak chmury sine po stropi nieba
I nie wiesz o tym, że chwil szczęśliwych,
Tak sercu memu znowu potrzeba!...

Czemuż, ach czemu, każda godzina,
Duszę tęsknotą znów mi przepala
I me wołania dlaczego giną
I próżno usta w bólu się żalą?...

Nie doznał przecież krzywdy ode mnie
Najgorszy człowiek, najlichsze ptaszę,
Więc czemuż radość nie wchodzi promienna,
Lecz smutek cichy pod me poddasze?...

Nie prosił darmo mnie żebrak w bramie
O kromkę chleba, więdnący kwiatek
O kroplę wody, więc czemuż sama
Próżno o szczęście błagam zaświaty?...

Czyliż mi trzeba najpierw z tęsknoty,
Jak kwiatu konać bez kropel rosy,
Czy trzeba mi czekać, jak żebrak w wrotach,
Aż szczęście ześlą mi dobre losy?...

Maria Zemmlerówna.



WOJCIECH HOLM

22)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Ścierała proch z książek, z których Leon się uczył, utrzymywała porządek na jego biurku, przy którym tyle godzin przesiedział nad nieukończoną nauką doktorską i codziennie stawiała tam świeże kwiaty.

Niech widzi, kiedy wróci ten gorąco ukochany, że ona oczekiwała jego powrotu codziennie.

Codziennie pisała nowe listy do niego, coraz to nowymi wyrazami zapewniając go o swej miłości i wierności i co dzień znajdowała list ten nieotwarty i nienaruszony na tym samym miejscu.

Znowu zeszedł dzień, nie spełniwszy najgorętszych pragnień jej serca.

Pusty, zimny pokój, codziennie był świadkiem jej żalu, jej cichych łez.

Niechętnie zawsze wracała stamtąd do wygodnego, cichego przytułku u ojca.

I dziś, gdy mistrz czekał na nią niespokojny, Hortensja była w swoim dawnym mieszkanku.

Bardziej smutna niż wczoraj, gdyż nadzieja jej znikała z każdym dniem, uklękła, wznosząc łzami zalane oblicze do nieba i modliła się o pocieszenie i siłę.

Zatopiona w modlitwie nie zauważyła, że ktoś cicho otworzył drzwi, popatrzył na nią i potem równie cicho je zamknął, a gdy wyszła i zamknęła drzwi, zeszedł za nią na dół i zaczekał w sieni, w ukryciu, gdy poszła do gospodyni, aby oddać klucz.

Ledwo Hortensja opuściła mieszkanie pani Neumeister, gdy u drzwi wchodowych silnie zadzwoniono.

Poczciwa kobieta zdziwiona poszła otworzyć i zobaczyła bardzo eleganckiego mężczyznę, którego twarzy jednak dokładnie rozpoznać nie mogła, bo miał na czoło nasunięty kapelusz, a kołnierz od płaszcza wysoko postawiony.

— Czy mógłbym u pani wynająć dwa umeblowane pokoiki? — spytał obcy.

— Tak, wielmożny panie — odrzekła uszczęśliwiona gospodyni — mam kilka pokoi do wynajęcia, a wszystkie piękne, jak cacka. Wielmożny pan będzie zachwycony.

— A na którym piętrze są te pokoje? — zapytał.

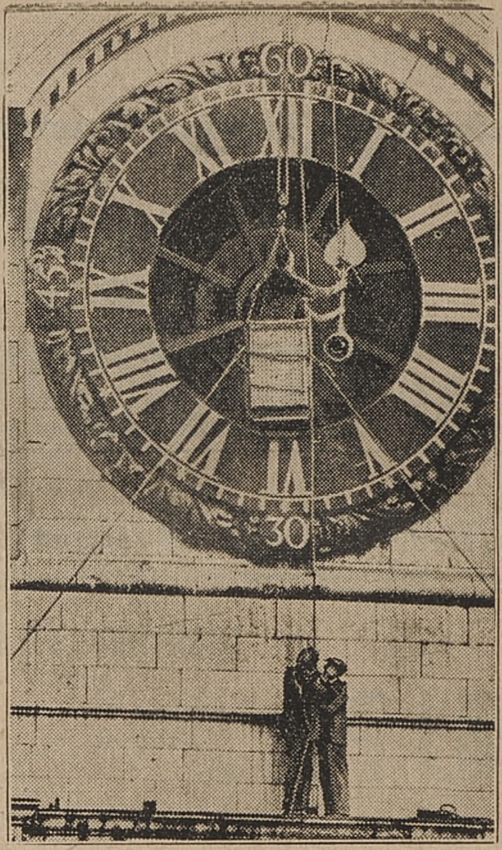
— Na trzecim — odpowiedziała pani Neumeister trochę nieśmiało, bo bała się, że ten elegancik zechce mieszkać tylko na pierwszym — ale schody są bardzo wygodne!

Ku zdziwieniu jej, przybyły nie miał nic przeciwko wysokości mieszkania i kazał je sobie pokazać.

Pani Neumeister wzięła pęk kluczy w jedną, a świecę w drugą rękę i poprosiła nieznajomego, aby szedł za nią.

Gdy przechodzili obok mieszkania Hortensji, nieznajomy wskazał na drzwi i zapytał:

— A te pokoje czy są wolne? Bo położenie tego mieszkania podoba mi się.



Zegar — olbrzym, umieszczony w wieży katedry św. Pawła w Londynie. O wielkości zegara mówi proporcja między tarczą zegara, a osobami pod nim stojącymi.

— Niestety, nie! — odrzekła gospodyni — są one wprawdzie niezamieszkane, ale nie są wolne.

— Niezamieszkane, ale nie wolne — spytał ciekawie — jakim to sposobem?

— O, to ciekawa historia — opowiadała pani Neumeister szeroko — bo widzi pan, mieszka tu student, Waldau. Mimo, że był jeszcze studentem, był już żonaty; miał żonkę cudną jak anioł, ale jak to się często między młodymi ludźmi zdarza, pokłócili się i pewnego pięknego dnia pan Waldau wyszedł z mieszkania, aby więcej nie wrócić.

Trzy dni oczekiwała go młoda kobieta we łzach i rozpaczy, aż wreszcie nadszedł jej ojciec i zabrał ją do siebie. Ale ona przychodzi tu jeszcze codziennie, dowiadując się, czy mąż jej nie wrócił i utrzymuje rzeczy jego w porządku, jak przed tym.

Ale otóż jesteśmy przy tych pokojach, które są do wynajęcia — dodała — jest kilka ładnych pokoi, za bajecznie niską cenę.

Mimo zachwalań gospodyni, nieznajomy obejrzał tylko przelotnie pokoje i zapytał:

— Jak się nazywa ojciec tej młodej kobiety.

— Jest to sławny nauczyciel śpiewu, Gellini; każde dziecko zna go we Wiedniu — informowała go pani Neumeister — ale czy się wielmożnemu panu te pokoje nie podobają? — dodała natrętnie.

— Nie, to nie jest to, czego szukam, ale ponieważ się pani fatygowała, aby mi pokazać pokoje, proszę przyjąć tę drobnostkę za trud — rzekł, wsuwając ucieszonej kobiecie trochę pieniędzy.

Następnie oddalił się prędko.

Gdy był już na ulicy, wyciągnął z kieszeni portfel z herbem i koroną i zanotował sobie coś przy świetle latarni, które oświeciło teraz piękne, ale dumne rysy księcia Beli Iffalwi'ego.

Zamyśliwszy się, poszedł dalej.

Ona jest anielsko piękna — mruknął pod nosem — a niewinność i nieporadność odbijające się na jej twarzy, dodają jeszcze więcej uroku i pociągają ku niej.

Ma coś nadziemskiego, coś wyższego ponad ludzką namiętność, a przecież zdaje się być stworzoną na to, aby wzbudzać jak najszaleńszą miłość. Anielska jej twarz stoi mi bezustannie przed oczyma duszy i wydaje mi się zagadkowo znajomą.

Czyż miałbym już widzieć kiedy te rysy? Chyba nie, bo tyle piękności i zarazem uroku, nigdy jeszcze u żadnej kobiety nie spostrzegłem.

Może widziałem kiedy podobny obraz Madonny i dlatego rysy jej wydają mi się tak znajome?

Zajęty myślami doszedł do jakiegoś odludnego miejsca i wyjąwszy portfel, przeczytał sobie zrobioną poprzednio notatkę przy latarni.

— Waldau? Waldau? To nazwisko jest mi znajome — szepnął. — Ach, przypominam sobie teraz! Jest to nowy kochanek baronowej von Wimpfen, którego widziałem u niej w pawilonie, dzięki usłużności Anastazji.

Przypuszczam, że jest on niewiernym małżonkiem tej młodej kobiety. Nie ulega żadnej wątpliwości, to jeden i ten sam człowiek. Cóż to za idiota, aby porzucać takiego anioła, dla takiej Loli Wimpfen.

Myślał jeszcze długo na ten temat, wreszcie przypomniał sobie przestraszony:

Zapomniałem na śmierć pójść do Grety, a ona tam pewno na mnie czekała! Zresztą mniejsza o to, niech sobie dalej czeka. Nie mam teraz chęci słuchać jej nudnej gadaniny. Dam jej jutro te ametysty, o które tyle razy już się przymawiała i w ten sposób ją wynagrodzę.

Książę chciał przed chwilą odwiedzić pannę Gretę, baletnicę teatru nadwornego i pomylił się w numerach. Myśląc, że to drzwi Grety, otworzył drzwi mieszkania Hortensji. Spostrzegł zaraz, że się pomylił, ale odniósł niezatarte wrażenie.

Tego wieczora nie poszedł ani do arystokratycznego klubu, ani też nie odwiedził żadnego z domów prywatnych, do których był zaproszony, lecz udał się wprost do swego elegancko urządzonego mieszkania kawalerskiego, które miał wynajęte w Wiedniu.

Tu zasiadł do wspaniałego fortepianu i zaczął komponować przeróżne muzyczne fantazje.

W ten sposób przyniósł ulgę wezbranemu myślami sercu, w którym zamieszkała anielsko piękna Hortensja.

Noc spędził na obmyślaniu różnych środków, prowadzących do poznania pięknej nieznajomej.

Nie miał jednak najmniejszego przeczucia, że z Hortensją łączą go tajemne węzły i żaden głos wewnętrzny nie przestrzegał go przed spełnieniem wytkniętego zamiaru.

Zaślepiony namiętnością, widział przed sobą jeden tylko cel: cel posiada-

nia tego anielskiego, dziecinnego stworzenia, które zajmowało teraz całą jego istotę!

ROZDZIAŁ LXXVI.

W czarownej krainie tonów

Gdy Hortensja następnego wieczora wracała z osamotnionego mieszkania, po codziennej, zwykłej wizycie, nie wzięła sobie dorożki, gdyż księżyc oblewał światłem cudnie ulice miasta, a powietrze tak było czyste i świeże, że wolała pójść pieszo.

Upajając się pięknem nocy nie spostrzegła, że jakaś postać postępowała za nią w pewnym oddaleniu. Szła dość prędko, zajęta swojemi myślami.

Nagle, gdy chciała przejść poprzeczną, prawie zupełnie odludną ulicę, przystąpił do niej jakiś włóczęga o strasznej powierzchowności i wyciągnąwszy rękę, wymówił kilka słów odbijających pokorą od impertynenckiego wyrazu jego twarzy.

Mimo przestrachu, wyciągnęła Hortensja swój pugilares, aby dać jakąś zapomogę nędzarzowi, ale skoro tylko wyjęła sakiewkę z pieniędzmi, łotr wyrwał ją i rzekł z wstrętnym uśmiechem:

— A teraz jeszcze zegarek, piękna panienko! Ale prędko, zanim ktoś nadejdzie, a później, może sobie panienka iść spokojnie dalej!

Podczas, gdy Hortensja śmiertelnie blada ze strachu, gotowa była oddać mu zegarek, dwa silne ramiona złapały włóczęgę, a gniewny głos zawołał:

— Łotrze jakiś, oddaj natychmiast to, coś zrabował, a potem pójdziesz ze mną, do najbliższego policjanta!

Ale włóczęga zręcznie wywinął się z rąk napastnika i przepadł, jak kamień w wodzie za rogiem ulicy.

Hortensja uspokoiła się tymczasem trochę i dziękowała nieśmiało swemu obrońcy.

Był to piękny mężczyzna w średnim wieku, który wspaniałą swą postacią i ułożeniem, zwracał uwagę przechodniów.

— O, proszę mi nie dziękować za przysługę, którą każdy przechodzień byłby pani oddał — rzekł uprzejmie — przeciwnie, to ja powinienem podziękować losowi, że pozwolił mi przyjść pani z pomocą. Czy ma pani jeszcze daleką drogę do domu i czy wolno mi odprowadzić panią?

— Idę aż do ulicy Franciszkańskiej — odrzekła nieśmiało.

— Chociaż to nie daleko, to jednak nie mogę zgodzić się na to, aby pani drogę tę odbyła sama — rzekł nieznajomy — nie chcę narzucać się z swoją opieką i towarzystwem, ale powóz mój czeka niedaleko i byłbym szczęśliwym, gdyby pani chciała go użyć.

Hortensja ociągała się trwożliwie, ale maniery nieznajomego tak były wykwintne i budzące zaufanie, że wreszcie dała się namówić i przyjąwszy jego ramię, pozwoliła się przeprowadzić poza róg ulicy.

Tu czekał bardzo elegancki powóz, a lokaj w bogatej liberii stał obok niego. Gdy spostrzegł swego pana, otworzył szybko drzwiczki.

Nieznajomy dał znak, aby lokaj ustąpił i sam pomógł Hortensji przy wsiadaniu.

— Czy wolno zapytać panią o adres? — zapytał.

— Ulica Franciszkańska numer 9-ty — odpowiedziała.

— Franciszkańska 9 — powtórzył książę i zanim jeszcze powóz ruszył z miejsca, zapytał:

— Czy wolno mi będzie dowiedzieć się jutro osobiście, czy dzisiejszy wypadek nie zaszkodził pani?

— Naturalnie — odpowiedziała Hortensja — będzie mi przyjemnie móc podziękować panu raz jeszcze.

— O to mi nie chodzi — usprawiedliwiał się książę — ale nie omieszkam skorzystać z łaskawej aprobaty.

Skłonił się raz jeszcze.

Służący zatrzasnął drzwiczki, wskoczył na kozioł i powóz odjechał.

Triumfującym wzrokiem książę Iffalwi — bo on to był, powiódł za oddalającym się powozem.

— A to mi się udało — rzekł triumfująco — ten drab zagrał pysznie swoją rolę i rzetelnie zasłużył sobie na parę guldenów.

Jutro odwiedzę ją i znajomość utrwalę. Czyżby Beli Iffalwi miało nie udać się zdobyć takiego jednego głupiutkiego serduczka niewieściego, jak sobie zada trochę pracy?

Tak myśląc, delektował się już naprzód przeczuciem przyszłego triumfu.

W tym samym czasie Hortensja drżąca i poirytowana, zbliżała się do swego mieszkania, nie mogąc doczekać się chwili, w której będzie mogła wysiąść z tego wspaniałego, wonią fiołków przesiąkniętego, powozu.

Wreszcie powóz zatrzymał się przed mieszkaniem jej ojca.

Lokaj zeskoczył ze swego siedzenia, otworzył drzwiczki i pomógł jej przy wysiadaniu.

Hortensja podziękowała mu i nieśmiało wsunęła w rękę złotówkę, lokaj bowiem wyglądał w swym fantastycznym stroju więcej na jakiegoś zagranicznego wielkiego dygnitarza, niż na służącego.

Ale mimo wspaniałego wyglądu datek Hortensji przyjął łaskawie.

Mistrz Gellini oczekiwał córkę swą z wielkim niepokojem.

Mówił on jej już tyle razy, aby wieczorem nie wracała do domu pieszo i unikała niebezpiecznych ulic miasta.

To też po opowiedzeniu przygody przez Hortensję, szczęśliwym był, że wszystko tak dobrze się skończyło. Dla wybawcy córki nie miał wprost słów uznania.

Następnie, jak zwykle wieczorem, zatopili się w swoich studiach i zapomnieli o całym przejściu.

Nazajutrz, w południe, stała Hortensja przy oknie swego pokoju i przypatrywała się w zamyśleniu ruchowi ulicznemu.

Nagle zwróciła jej uwagę wspaniała czwórka.

Przepędziła ona galopem i nagle stanęła przy bramie domu, w którym mieszkali.

Był to powóz księcia Iffalwi'ego, który przybył z zapowiedzianą wizytą.

Po kilku minutach wszedł stary Luigi i podał jej kartę wizytową przybyłego księcia.

Hortensja wzięła bilet z ciekawością.

Był on z kremowego papieru, bez żadnych ozdób. Pod koroną książęcą uwidocznione było tylko imię i nazwisko: „Bela Iffalwi".

Nieznająca świata Hortensja, która do tej małej korony nie przywiązywała wagi, odetchnęła z ulgą i pomyślała:

— Widocznie nie jest takim wielkim magnatem, jak myślałam, i będę mogła gawędzić z nim zupełnie swobodnie.

— Poproś tego pana do salonu — odrzekła do Luigiego — wyjdę zaraz sama, bo signor Gellini jeszcze zajęty.

Luigi oddalił się posłusznie, a Hortensja udała się zaraz za nim do salonu, nie spojrzawszy nawet w lustro.

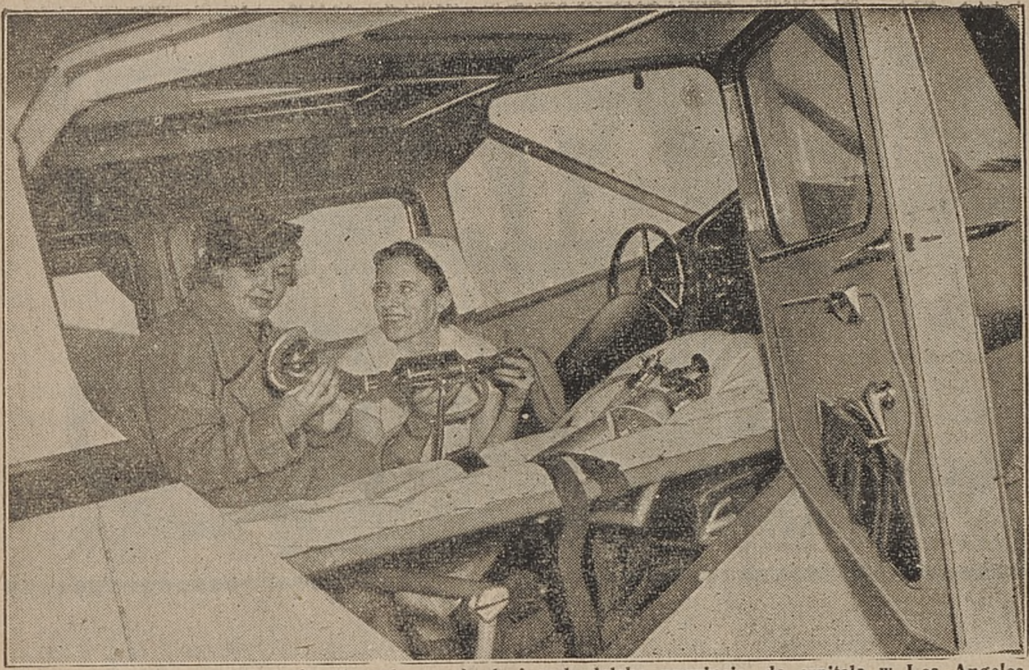
Gdy weszła, zastała księcia, wpatrującego się uważnie w jakiś obraz.

Zobaczywszy ją, pospieszył ku niej z galanterią i tak serdecznie wypytywał się o jej zdrowie, że wprawił ją tym w zachwyt.

Poprosiła go by usiadł i zadowolił się jej towarzystwem, nim przyjdzie ojciec.

W odpowiedzi usłyszała miły komplement.

Umiał on tak ośmielić Hortensję, że wkrótce pozbyła się swej nieśmiałości i gawędziła z nim jak najswobodniej.



W celu szybkiego przewiezienia chorych, zamieszkujących daleką prowincję, do szpitala w Los Angelos, uruchomiono samolot, wyposażony w potrzebne przybory lekarskie. Nasze zdjęcie przedstawia pielęgniarki tego „latającego szpitala".

Przy świetle dziennym wydawała mu się Hortensja jeszcze piękniejszą, niż w półświetle, w którym ją dotychczas widział.

Jej miłe, dziecinne usposobienie dodawało jej jeszcze więcej uroku w jego oczach. Namiętność jego rosła z każdą minutą.

Wydawało mu się wprawdzie dziwnym, że Hortensja go nie tytułuje, ale nie dał jej tego po sobie poznać.

Zauważył też wkrótce, że Hortensji brak obycia światowego, ale to nie zmniejszyło jego uwielbienia dla niej. Porównywał ją w myśli z wielkimi damami, których ogłada pokrywała zwykle wewnętrzną próżnię.

Po kwadransie, który przeszedł błyskawicznie, wszedł do salonu Gellini. W bardzo uprzejmych słowach powitał mistrz gościa i podziękował mu za rycerską pomoc, okazaną jego córce.

Z podziwu godną lekkośią prowadził książę rozmowę. Mówił z wielką znajomością rzeczy i o muzycznych kompozycjach. W nadzwyczaj delikatny sposób złożył też hołd mistrzowi. Chwalił szczególnie nową kompozycję Gelliniego i prosił, aby ten mu wytłumaczył niektóre, niezrozumiałe dla niego miejsca.

Mówiąc to zwracał się często do Hortensji i wciągał ją nieznacznie w rozmowę.

W ten sposób oczarował ojca i córkę.

Gdy Gellini w potocznej rozmowie wspomniał o pięknym, choć nie wyszkolonym jeszcze głosie swej córki, książę zawołał z entuzjazmem:

— O, co za radość sprawiłaby mi pani swoim śpiewem, czy mogę panią prosić o tę łaskę?

— Jeśliby jaśnie pan zechciał kiedy zaszczycić nas i przyjść do nas wieczorem, to córka moja jak najchętniej spełni życzenie jaśnie pana.

— Oczywiście, że skorzystam na pewno z łaskawego zaproszenia — zawołał książę uradowany — ale muszę uzyskać pozwolenie pani.

To mówiąc zwrócił się do Hortensji, która zmieszana potwierdziła prośbę ojca. Książę zadowolony ukłonił się i wyszedł.

Hortensja i Gellini zachwycali się nim, ale i on był zadowolony ze swej wizyty. Bela Iffalwi wiedział dobrze, że uczynił na Hortensji wrażenie i miał nadzieję, że iskrę tę w przyszłości rozdmucha w jasny płomień.

Miał jednak tyle taktu, że przemawiał do niej, jak do zamężnej kobiety, a nie jak do panny, jak to uczynił przy pierwszym spotkaniu.

Wtedy miało to sens, bo chciał, aby myślała, że nie jest wcale poinformowany, co do jej stosunków.

Teraz zaś widział obrączkę ślubną na jej palcu i poza tym chciał uniknąć nieprzyjemnych wyjaśnień ze strony Hortensji.

W kilka dni później zjawił się w domu mistrza lokaj w książęcej liberii i przyniósł prócz biletu dla Gelliniego, bukiet dla Hortensji.

Młoda kobieta, która była wielką miłośniczką kwiatów, zachwycała się długo arcydziełem sztuki ogrodniczej, które łączyło w sobie florę południa i północy, a mianowicie: róże, magnolie, kamelie, szarotki i anyż.

Kwiaty te były pięknie cieniowane i żaden rażący kolor nie psuł harmonii całości.

Radość Hortensji zmieszana była z wdzięcznością dla rycerskiego dawcy. Także Gellini cieszył się niewinną radością swej córki.

Polubił on księcia i był zadowolony, że ten zamówił się na dzisiejszy wieczór.

Gdy książę Bela wszedł do salonu mistrza, powitany został tak serdecznie zarówno przez ojca jak i przez córkę, że ciemne jego oczy zabłysły wyrazem głębokiego zadowolenia.

Rozmawiając żywo i zajmująco z mistrzem, nie spuszczał oka z uroczej gospodyni, która krzątała się z nieopisanym wdziękiem.

Luigi w skromnej liberii podawał herbatę i wyborne przekąski różnego rodzaju, książę zaś dziwił się w duszy wykwintnej elegancji mieszczańskiego domu, jak również świetności i dystynkcji gospodarza.

Bo też ten skromny nauczyciel śpiewu, który jednak wyrobił sobie dość głośne imię i którego lekcje opłacano złotem, był gentlemanem w całym tego słowa znaczeniu, a dom jego stanowił odpowiednią oprawę tak dla niego jak i dla jego pięknej córki.

Zaraz po herbacie poprosił książę w żartobliwym tonie, aby go nie krzywdzić i nie skracać uczty muzykalnej, na którą tak się cieszył.

Podał ramię Hortensji i poprowadził ją do fortepianu, co Gellini przyjął z zadowoleniem, bo tak sentyment księcia do muzyki, jak też i jego miłe usposobienie zjednały mu serce starego mistrza.

Mistrz usiadłszy przy fortepianie porozumiał się półgłosem z Hortensją o wybór pieśni.

Po krótkim preludium zaczęła Hortensja śpiewać. Cudny jej sopran łączył się z nadzwyczajnym uczuciem. Wyśpiewywała swą miłość i cierpienia swoich młodych lat.

Książę usiadł w fotelu, w pewnym oddaleniu od fortepianu, i podczas, gdy chwytał uchem boski śpiew Hortensji, oczyma pożerał jej wdzięczną postać.

Wydawała mu się nieziemskim zjawiskiem. Jasne jej faliste włosy nie były ułożone w modną fryzurę, jak dawniej, tylko spływały wolno na jej ramiona.

Ciemno-szafirowe jej oczy, wydawały się prawie czarne w ciemnej oprawie brwi i rzęs i patrzyły dziwnie tęskno, cierpiąco a zarazem łagodnie.

Książę nie mógł uwierzyć, aby to anielskie stworzenie było już zamężną kobietą, znającą wszelkie rozkosze i cierpienia miłości. Wydawała mu się raczej aniołem światłości, który zstąpił z nieba, aby bez ziemskich win żyć czas jakiś między ludźmi, a później na skrzydłach swoich wznieść się znów do nieba.

Hortensja na prośby księcia śpiewała jeszcze wiele pieśni i zapomniała w końcu, że ma słuchacza i cały ból swej duszy wylała w tonach.

Sam mistrz dziwił się tragizmowi, jaki wyczuł w śpiewie córki.

Księciu zaś wydawał się jej śpiew śpiewem syrenim, który go do niej przyciągał i przykuwał niewidzialną jakąś siłą, i podburzał namiętność jego tak, że mu krew po żyłach krążyła, jak szalona.

Gdy wreszcie Hortensja zmęczona umilkła, podziękował jej Iffalwi za śpiew z takim uniesieniem i naturalną szczerością, że znów tym chwycił za serce równo ojca jak córkę.

Oświadczył też z miną, z którą mu było bardzo do twarzy, że musi się za te piękne chwile zrewanżować.

— Będzie to tylko bardzo słabym rewanżem — dodał uśmiechnięty — bo jestem tylko nieszczęśliwym miłośnikiem sztuki.

To mówiąc usiadł przy fortepianie i wygrał ostatnią melodię, którą Hortensja śpiewała; z początku cicho, potem coraz potężniej rozbrzmiewały akordy, coraz to nowe melodie łączyły się z po-

przednimi i gra księcia stawała się coraz dzikszą, coraz namiętniejszą.

Tony wydobywające się z pod jego palców zdawały się być to ponuremi skargami, to westchnieniami miłosnymi, to wreszcie strasznymi cierpieniami.

W grze tej czuć było całą skalę namiętności i bólu.

W tem urwał nagle zgrzytliwym dysonansem i zdrętwiałym wzrokiem patrzył przed siebie, jakby zapomniał o całym świecie.

Z pochyloną naprzód głową, pół otwartymi ustami i błyszczącymi oczyma słuchała Hortensja jego gry, a tony, wydobywające się z pod jego palców rozbudzały w sercu jej struny, które nieświadomie tam drzemały.

Czuła się dziwnie zaniepokojona, nieopisaną namiętnością, wiejąca wyraźnie z tych tonów.

Niezdolna wymówić słowa, patrzyła przed siebie, a w uszach jej brzmiały jeszcze tony wywołane ręką księcia.

Mistrz pierwszy przyszedł do słowa. I jego nawet zainteresowała potężna gra księcia, pod której czarem był również.

Jak śpiew Orfeusza, który poruszał drzewa i skały, a któremu nic i nikt oprzeć się nie mógł, tak interpretacja Iffalwiego podziałała na ojca i córkę.

— Książę — rzekł mistrz wzruszony — wiem tylko jedno: jesteś prawdziwym artystą.

Książę ocknął się, jak gdyby ze snu; wstał z miejsca, a piękne jego rysy straciły wyraz ponurej zadumy.

— Nadużyłem dziś gościnności pańskiej — rzekł uprzejmie — a jedynym mojem uniewinnieniem jest, że czas błyskawicznie szybko mi płynął. Był to najpiękniejszy wieczór, jaki kiedykolwiek w przeciągu wielu lat spędziłem. Czy wolno mi powtórzyć wkrótce odwiedziny, które mi tyle przyjemności sprawiły?

— Książę zrobi nam wielką radość — odparł mistrz serdecznie.

Ale błyszczące oczy księcia szukały odpowiedzi w spojrzeniu Hortensji i wyczytały w nim spodziewany wyraz.

Na pożegnanie pocałował ją w rękę, a podziękowania jego, wypowiedziane szeptem, zdradzały jakąś dziką namiętność.

Krótkim uściskiem dłoni pożegnał mistrza i wyszedł.

Ten jego rychły odwrót miał pewien cel. Wiedział on bowiem dobrze, że uczynił na Hortensji silne wrażenie, tak grą jak i całem wystąpieniem swojem i wrażenia tego nie chciał osłabić, przewlekając wizytę.

Postępowanie jego było bardzo wyrafinowane, mimo to jednak nie odniosło pożądanego skutku, bo gdy tylko odszedł, Hortensja ochłonęła z wrażenia, które na niej uczynił.

Czysta, szlachetna jej natura instynktownie wyczuła w nim nieczyste zamiary i starała się wyzwolić z pod jego wpływu.

Oskarżała się sama przed sobą, że podczas jego gry zajęła się zbyt jego osobą i zapomniała przez chwilę o Leonie.



Na ostatnich zawodach łyżwiarskich w Londynie, wyróżniła się znana para łyżwiarzy — Herber i Baier, zdobywając mistrzostwo świata.

Teraz wszystko to przeszło, a w sercu jej królował jak przed tym, jedynie i niepodzielnie obraz jej czystej miłości.

Nim się ułożyła do snu, modliła się jeszcze długo i gorąco o powodzenie i szczęście Leona. Chciała zrezygnować ze wszystkiego, byleby jemu tylko na niczem nie zbywało, byleby on czuł się zadowolony i szczęśliwy.

Modlitwa ta podyktowana nadludzką miłością i zaparciem się siebie wlała spokój i ukojenie w duszę opuszczonej kobiety!

ROZDZIAŁ LXXXII.

Gdy dobrowolnie pójść nie zechcesz, przemocą cię zabiorę

Bela Iffalwi był pewnym, że dojdzie do wyznaczonego celu. Doświadczony znawca serc niewieścich nie wątpił ani na chwilę, że dziecinne serce Hortensji nie będzie miało siły oprzeć się jego gorącej namiętności.

Upajając się przedsmakiem triumfu, knuł dalej z zapałem i wyrafinowaniem intrygi, które mu miały pomóc pozyskać względy Hortensji.

Posłuszna woli ojca Hortensja, jechała zawsze dorożką, aby odwiedzać wieczorem dawne swe mieszkanie.

Dorożka ta czekała zawsze przed bramą domu, a młoda kobieta spełniwszy swój smutny obowiązek, który sobie sama nałożyła, wsiadła znów do powozu i wracała do wykwintnego mieszkania ojca.

Ze łzami w oczach i smutkiem w sercu opuszczała Hortensja, pewnego wieczora mieszkanko, w którym zaznała wiele szczęścia i tak wiele przecierpiała.

Widząc czekającą przed bramą dorożkę, nie zwracała na to uwagi, czy była ta sama, która ją tutaj z domu przywiozła.

— Franciszkańska 9! — rzekła do woźnicy, wsiadła i zatrzasnęła drzwiczki.

Pogrążona w smutku nie zważała na to, że woźnica zaciął niecierpliwie swe konie i pędził w szalonym galopie przez ulice.

Wreszcie ocknęła się i spostrzegła, że jedzie dłużej niż zwykle. Wyjrzała więc przez okno powozu i zobaczyła jakieś odludne, źle oświecone i zupełnie jej obce ulice.

Zapukała więc na woźnicę i powiedziała mu, że się musiał omylić, on jednak nie zważał na to i jechał jeszcze szybciej.

Przestraszyła się więc okropnie, bo przeczuwała, że jej grozi jakieś niebezpieczeństwo, nie wiedziała tylko jakiego rodzaju.

W bezgranicznej rozpaczy próbowała otworzyć drzwiczki powozu, ale czyniła to daremnie.

Pełna śmiertelnej trwogi, chciała przynajmniej spuścić okno, w tej nadziei, że będzie mogła prosić przechodniów o pomoc, ale i tego w żaden sposób uczynić nie mogła.

Nie przyszło jej wcale na myśl zbić szybę u okna silnym uderzeniem pięści i przez stłuczone okno wołać o pomoc; w niemej rozpaczy patrzyła na ulicę, która przedłużała się w gościniec.

Z przerażającą szybkością mijała ogołocone z liści drzewa i prędko przemykające wozy.

To i ówdzie, tylko spostrzegła jakiś samotny domek przy gościńcu i pieszych przechodniów, którzy patrzyli ze zdziwieniem na pędzącą dorożkę.

Pozbawiona energii i siły woli, niezdolna do powzięcia i wykonania jakiegoś planu, siedziała Hortensja trwożnie skulona w kącie powozu, podczas gdy konie nie zwalniały biegu.

Nagle zatrzymały się w biegu, powóz stanął, a Hortensja przysłuchiwała się



Wiosna coraz bliżej... Na równinach tają już śniegi, w górach zaś narciarze, sunąc w teren, z żalem myślą, że już wkrótce przyjdzie im pożegnać się z nartami.

z bijącym sercem jakiejś głośno i w obcym języku prowadzonej rozmowie, przez zupełnie nieznanych jej mężczyzn. Chciała spojrzeć przez okno, ale było tak ciemno, że niczego zobaczyć nie mogła.

W tym usłyszała szybkie kroki, silne otwarcie drzwiczek i uczuła, jak ją silne ramiona porywają i mimo jej oporu gdzieś unoszą.

Śmiertelnie przerażona i znużona poznała wreszcie, że nie ma najmniejszego sensu opierać się dłużej, gdyż jej to nic a nic nie pomoże i padła zemdlona bez przytomności, nie wiedząc wcale, kto ją unosi, dokąd, i po co.

ROZDZIAŁ XXXIII

Mój anioł będzie z tobą

Z nieudałej wyprawy do zamku Felseg wracała Sylwia zasmucona i złamana na duchu do swojej leśniczówki. Na jej szczęście, pani Herbert spała, więc biedna Sylwia mogła przynajmniej pójść do swego pokoju i oddać się swemu bólowi.

Łzy spływały z jej oczu strumieniami, ale nawet i w tej chwili największego rozczarowania, nie straciła nadziei w odzyskanie Wernera.

Uważała ona, że gdyby to podziemne więzienie rzeczywiście przez setki lat nie było otwierane, musiałoby powietrze być w nim wilgotne i stęchłe. Werner przecież musiał tam przebywać! — wołała. — Sprzątnięto go tylko stamtąd na czas pewien. Pójdę tam znów za kilka dni i może wtedy wrócę szczęśliwa.

To postanowienie wzmocniło i pocieszyło ją o tyle, że na pozór przynajmniej wydawała się spokojniejszą.

Tydzień upłynął od tego czasu, a zdrowie pani Herbert polepszało się z dnia na dzień. Nalegała ona na to, aby Sylwia rozpoczęła znów codzienne swe przechadzki.

Sylwia zaś, która pod innymi warunkami, nie byłaby nigdy matki swej samej w domu zostawiała, zgodziła się teraz chętnie na to i powiedziała, że z przyjemnością będzie teraz chodziła trochę po górach.

Pożegnawszy się pewnego poranku z panią Herbert powiedziała, że wybiera się pieszo na wycieczkę w góry.

W rzeczywistości poszła znów na zamek Felseg.

Pluto wyszedł dziś z leśniczym do lasu, więc Sylwia musiała się obejść bez opieki tego wiernego zwierzęcia, ale mimo to nie bała się wcale.

Wzięła do kieszeni pudełko zapałek i świecę woskową, o broni żadnej nie pomyślała nawet i bez przeszkód dotarła do zamku w stosunkowo krótkim czasie.

Z przyjemnym zdziwieniem spostrzegła, że ciężka brama zamkowa była tylko przymknięta; otworzyła ją cicho i weszła niepostrzeżenie.

Z nadzwyczajną ostrożnością otworzyła drzwi prowadzące do pierwszego pokoju i zamknęła je również bez najmniejszego szelestu.

Okiennice były otwarte i jasne słońce jeszcze oświecało pokoje.

— Obawiam się, że i tym razem daremnie szukać będę — mruknęła Sylwia — bo gdyby Werner znów tu był, byłby Alojzy ostrożniejszy i nie zostawiłby tak otwartych drzwi i okien.

Ale pomimo tej wątpliwości przebiegła wszystkie pokoje.

Gdy już była w ostatnim, uklękła na podłogę, aby odsunąć granitową płytę. Udało jej się to z mozolnym trudem.

Schyliwszy się do otworu więziennego, zawołała głosem pełnym miłości:

— Wernerze, drogi mój Wernerze!

Nikt jej jednak nie odpowiedział. Usłyszała ją natomiast Ilona, która przyszła do zamku, aby powiedzieć Alojzemu, że teraz przez kilka dni z rzędu nie będzie mogła doglądać nieszczęśliwego więźnia.

Na palcach, z błyszczącemi oczyma i zarumienioną twarzą, wsunęła się za Sylwią.

Piekielna myśl strzeliła jej do głowy. Chciała ona Sylwię, która nic złego nie przeczuwała, wtrącić do więzienia i zasunąć płytę.

Kombinowała równocześnie, że Sylwia upadając z takiej wysokości na kamienne płyty, może się potłuc i stracić na zdrowiu. Głód, pragnienie i strach uczynią też swoje, aby Sylwię jak najprędzej uśmiercić. Co to szkodzi, jak ją znajdą nieżywą?

Przecież nikt nie będzie jej mógł dowieść, że to ona zrobiła.

Gdyby tak mogła stanąć przed hrabią Wernerem i powiedzieć mu:

— Sylwia nie żyje! Jak mi przysięgniesz, że się ze mną ożenisz, gdy za nią płakać przestaniesz, to cię dziś jeszcze uwolnię.

Była pewna, że hrabia złamany chorobą i długim więzieniem, nie będzie miał więcej siły woli odrzucać jej propozycji.

Tak myśląc, podniosła morderczą dłoń, aby wykonać tę zbrodnię.

Sylwia nie słyszała wcale kociego jej kroku. Z świecą w ręku, rozpraszała okropne ciemności więzienia.

W chwili, gdy Ilona podniosła rękę, aby ją strącić, padł jakiś cień na podłogę. Ilona odwróciła się gniewnie i zobaczyła Ignacego, wyrostka, z tego samego co ona obozu. Przechodził on tędy z pełnym worem nazbieranych okruchów żywności i zaglądnął ciekawie do okna. Zobaczywszy Ilonę, ciekawiej jeszcze przycisnął opaloną twarz do szyby, a chytra Ilona ze złością spuściła rękę.

Diabelski jej zamiar został zniweczony przez Ignacego, bo nie mogła przecież wykonać go w obecności świadka.

Dała więc Ignacemu znak, aby milczał i cicho wysunęła się znów z zamku.

Sylwia nie przeczuwała nawet w jak strasznym znajdowała się niebezpieczeństwie. Anioł Boży rozpostarł nad nią opiekuńcze swe skrzydła i odwrócił od niej śmierć.

— Co robiłaś tam, Ilono? — zapytał Ignacy swoją współtowarzyszkę niedoli.

— Szukałam Alojzego — odparła cyganka.

— Wiesz, co mi się zdawało? — rzekł Ignacy. — Gdym cię tak zobaczył z wyciągniętą ręką, sądziłem, że chcesz tę panienkę wysłać do nieba.

— Mówisz jak gdybyś był w gorączce — przerwała mu Ilona szyderczo — a cóżby mi z tego przyszło, gdyby ona nie żyła?

— Tego nie mogę wiedzieć — odpowiedział cygan — ale to zupełnie tak wyglądało, jakbyś ją zamierzała uśmiercić.

— Jesteś idiotą — krzyknęła Ilona, obrzucając go mało pochlebnemi wyzwiskami.

Ignacy nie darował jej tego, przeciwnie, odcinał się ostro.

Gdy Ilona wyczerpała już cały zasób przekleństw i obelg, tak, że na żadne więcej zdobyć się nie mogła, dodała pogardliwie:

— Tego mi tylko brak, aby umawiać się z takim głupcem.

Odwiązała fartuszek i przybliżywszy się szybko do cygana, uderzyła go nim po uszach, potem zaczęła szydzić z jego dzieciństwa.

Tym szyderstwem jeszcze bardziej oburzyła Ignacego.

Pieniąc się ze złości pobiegł za nią i chciał ją uderzyć, ale ona wywinęła mu się zgrabnie i ratowała się ucieczką.

Ignacy wiedział, jak prędko Ilona umie biegać i nie próbował nawet jej ścigać. Posłał więc za nią jeszcze kilka okropnych przekleństw, wszedł do kuchni i rzucił worek na stół.

Wkrótce usłyszał lekki krok Sylwii. Wyszedł więc z kuchni naprzeciw niej i rzekł, kłaniając się nisko:

— Panienka tu, tak sama? Czy się panienka nie boi?

— Nie, nie boję się — rzekła Sylwia bardzo uprzejmie.

— Czy panienka tu co zgubiła? — badał cygan dalej.

— Zgubiłam tu swoje szczęście — odrzekła z spuszczoną głową.

— Gdybym tylko mógł wiedzieć dlaczego Ilona tak jej nie lubi — myślał młody cygan. — Panienka jest bardzo dobra dla każdego, cały świat ją kocha, tylko jedna Ilona tak ją śmiertelnie nienawidzi. Jeśli zobaczę panienkę kiedy martwą w jakiejś przepaści, to będę zupełnie pewny, że to nikt inny, tylko Ilona ją uśmierciła i oskarżę ją otwarcie przed naczelnikiem naszego obozu, przed silnym Markiem.

Nie przyszło mu jednak na myśl, że to jest jego obowiązkiem ostrzec zagrożoną Sylwię przed jej śmiertelną nieprzyjaciółką.

Poczucie łączności i solidarności jest bowiem tak silne u cyganów, że należy to do rzadkości, aby jeden cygan zdradził drugiego.

Przygnębiona niepowodzeniem szła Sylwia do domu, a gdy przybyła do leśniczówki, zastała panią Herbert w okropnej rozpaczy.

— Pomyśl sobie, co za nieszczęście! Okradziono nas — lamentowała leśniczyna.

Sylwia zaś, dla której pieniądze nie miały wartości, zapytała spokojnie, czy to o wielką sumę chodzi.

— Nie chodzi tu wcale o pieniądze — rzekła Herbertowa — tylko o drogocenną pamiątkę.

— Pamiątkę? Jaką pamiątkę? — spytała Sylwia zdziwiona.

— Kasetę dębową — odparła pani Herbert.

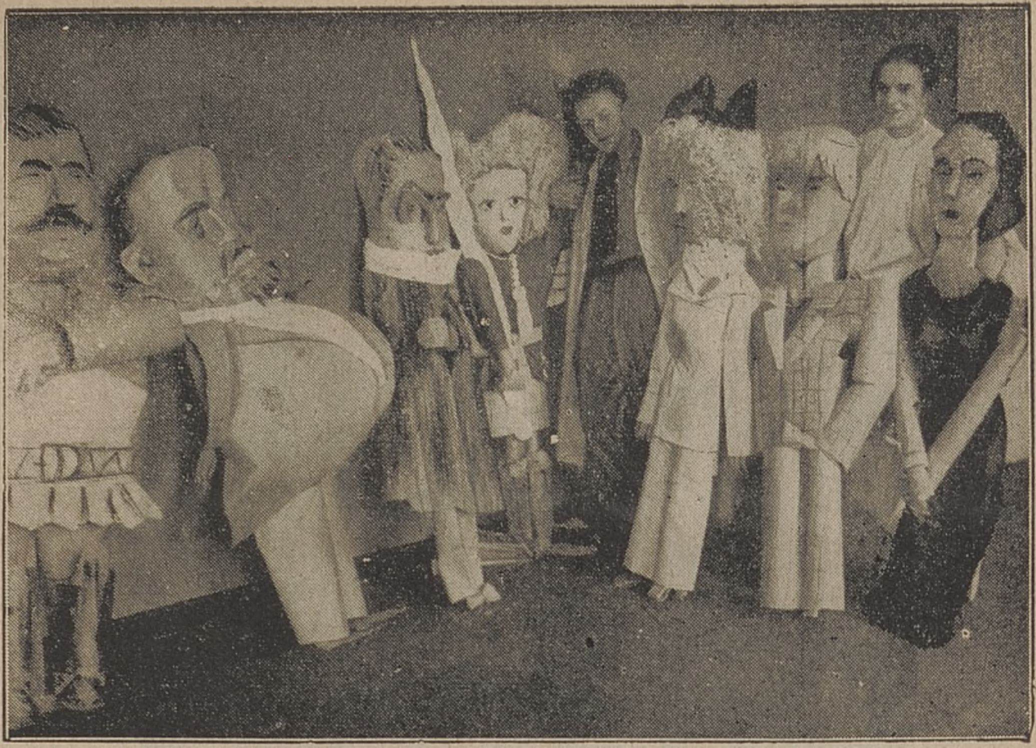
— Tę piękną, starą kasetę, którą mi nigdy mam nie pozwoliła otwierać? — pytała Sylwia.

Herbertowa skinęła tylko smutnie głową.

— Tę samą — rzekła.

— A co tam w niej było, mateczko? — nalegała Sylwia — dawniej mówiłaś mi zawsze, że mi powiesz, jak dorosnę, a teraz jestem już przecież dość starą, aby się o tym dowiedzieć.

— Dowiesz się o tem jeszcze dość wcześnie — wymawiała się pani Herbert — a dziś oszczędź mnie już. Chodzi tu o dawne dzieje, których samo



W Berlinie odbył się w lutym bal artystów filmowych. W programie urozmaiceń były przedstawione kukły tekturowe, przedstawiające najpopularniejszych artystów filmowych.

wspomnienie z równowagi mnie wyprowadza.

— Przebacz matko, nie chcę cię martwić — rzekła Sylwia łagodnie. — Nie będę już więcej o tem wspominała. Ale kiedy i jak spostrzegłaś kradzież?

— Przeglądałam zwykle od czasu do czasu rzeczy schowane w kasecie — rzekła pani Herbert — ale w tym roku nie uczyniłam tego.

Dopiero podczas swojej słabości przypomniałam sobie o tej niedbałości twojej, chciałam to uczynić. Czułam się dość silną, aby zejść po schodach, ale któż pojmie moje przerażenie, gdym kasety nie znalazła na zwykłym miejscu!

— A czy izba ta była zamknięta? — zapytała Sylwia.

— Była zamknięta i zamek był nieuszkodzony — odpowiedziała leśniczyna.

— To jest zagadkowe! — rzekła Sylwia.

— Nie mam pojęcia, kiedy to się stać mogło — ciągnęła Herbertowa dalej — kaseta ta dla nikogo zresztą nie ma wartości, a cała ta sprawa dziwnie jest tajemnicza i niewytłumaczona.

Wtem zapukał ktoś do drzwi. Był to listonosz.

— Przynoszę list dla wielmożnej panienki — rzekł i śmiejąc się, podał jej zgrabny liścik.

Zdarzało się to tak rzadko, że zawsze było czymś nadzwyczajnym dla Sylwii.

— Proszę zajść do kuchni — rzekła uprzejmie do listonosza, wsuwając list do kieszeni — każę panu tam podać małą przekąskę.

Po przygotowaniu listonoszowi smacznego posiłku, zaczęła uważnie oglądać pismo.

Adres pisany był zupełnie obcą ręką. Zdziwiona otworzyła kopertę, ale zdziwienie jej rosło, gdy zaczęła czytać wręczony list.

Treść jego była następująca:

„Gdyby panna Sylwia Herbert zechciała zasięgnąć bliższych informacyj, co do zmarłej swej matki, niech cię stawi w poniedziałek o północy we Wiedniu, w lokalu, zwanym Dominikanerbrau".

List ten wypadł jej z ręki.

Jakto? Więc leśniczyna, która ją od dzieciństwa otaczała prawdziwie rodzicielską miłością i troskliwością miałoby nie być jej matką?

Przypominała sobie, jak dzieckiem będąc, siedziała na jej kolanach i przysłuchiwała się uważnie bajkom i legendom opowiadanym jej przez tę dobrą matkę.

Z jaką czułością starała się o jej zdrowie i jak starannie ją pielęgnowała, gdy była chora. Z jaką serdecznością dzieliła wszystkie jej dziecinne uciechy i zmartwienia.

Czy to możliwe, aby taką miłością mogła obdarzać obce dziecko?

Nie, to była jakaś straszliwa mistyfikacja, której nie warto brać serio!

Sylwia rzuciła pogardliwie list do pieca i weszła znów do pokoju.

— Co to za list miałaś? — zapytała pani Herbert ciekawie.

— Ot, jakiś anonimowy! Nie warto nawet o nim wspominać — odpowiedziała Sylwia.

— Przypuszczam, że cię nie zmartwił? — badała przybrana matka.

— O, nie, kochana mateczko — zapewniała Sylwia.

Nie schodziło jej to z myśli i intrygowało ją okropnie, komu zależało na tym, aby zwabić ją na miejsce schadzki.

I czytelnicy nasi napewno ciekawi są rozwiązania tej zagadki.

Otóż autorem tego listu nie był nikt inny jak baron Szturmfeder. Namyśliwszy się, uznał on, że to nieostrożnie wtajemniczać Alojzego we wszystkie swe plany, bo kasztelan i tak już był bezczelnie impertynencki.



Ulubieńcem pewnej kalifornijskiej miejscowości jest młody lew tak oswojony, że jada z swoją panią przy jednym stole. Nie jest on jednak zbyt bezpieczny, o czym świadczy łańcuch, który trzyma, drapieżnego króla pustyni, stale na uwięzi.

Gdyby mógł dostać papiery, pozostałe po matce Sylwii, byłby je zniszczył, a Sylwię byłby zostawił w spokoju. Ponieważ jednak papierów dostać nie mógł, postanowił poradzić sobie w inny sposób, a mianowicie, postanowił zgładzić Sylwię, aby mu nigdy nie mogła odebrać praw, które sobie przywłaszczył.

W tym celu udał się do Wiednia, stamtąd napisał list do Sylwii. Chciał ją zwabić do Wiednia, a potem pozbyć się jej na zawsze.

W dniu oznaczonym stawił się na podane jej w liście miejsce, w towarzystwie starszego, siwego już mężczyzny i oczekiwał przybycia swej ofiary.

Aby się nie zdradzić, Egon ucharakteryzował się.

Włożył siwą perukę, taką samą brodę, duże okulary o niebieskich szkłach i na policzkach kazał porobić sobie tyle sztucznych zmarszczek, że można go było wziąć za siedemdziesięcioletniego starca.

Wraz z towarzyszem swym przechadzał się po dużej sali, patrząc w koło siebie, klnąc z niecierpliwości na czym świat stoi.

— Jeszcze jej nie ma — mruknął zgrzytając ze złości zębami.

— Dopiero dziesiąta godzina, panie baronie! — mitygował go towarzysz.

— Po cóż, u licha, tytułujesz mnie? — irytował się baron — mówiłem ci przecież, że to teraz niepotrzebne! Przez swoją nieostrożność możesz wszystko zepsuć. Jestem dla ciebie tylko „stary Kohen" rozumiesz?

Towarzysz Egona przyjął tę naganę z pokorą i chodził niecierpliwie z baronem, może przez pół godziny.

Wreszcie Egon krzyknął gniewnie:

— Już mi się głowa kręci od tego ciągłego chodzenia w kółko. Siądźmy lepiej obok drzwi wchowodych. Tam najlepiej zobaczymy każdego wchodzącego.

Obaj usiedli przy małym stoliku, baron zamówił piwo i przekąski, ale sam ich nie tknął. Niecierpliwość jego rosła z każdą minutą.

Towarzysz jego tymczasem posiłał się i pocieszał barona:

— Ona jeszcze przyjdzie! Kobiety nigdy na czas się nie stawiają, bo muszą się długo stroić.

— A jeśli ona przyjdzie z kimś drugim — pytał baron.

— To ja już się zajmę tą osobą — zapewniał towarzysz Egona z nieprzyjemnym uśmiechem. — Będę trzymał ściśle się wskazówek pana, panie baronie... panie Kohen, poprawił się prędko.

— Dobrze zrobisz — rzekł na to baron — a teraz zobacz, czy powóz czeka na rogu ulicy i czy jest wszystko w porządku!

Towarzysz posłusznie wstał, aby wypełnić rozkaz barona.

Po krótkim czasie wrócił i rzekł zadowolony:

— Wszystko w najlepszym porządku!

Przenikliwym wzrokiem lustrował Egon każdą kobiecą postać, wchodzącą do lokalu, jednakże wiele pięknych pań i panien przeszło, a Sylwii nie było.

Z początku pocieszał się baron nadzieją, że ofiara jego jeszcze się zjawi, wreszcie uznał, że dłuższe czekanie nie ma sensu i opuścił wraz ze swym towarzyszem lokal, wściekając się ze złości i klnąc w duchu.

— Pewno nie otrzymała pańskiego listu, panie Kohen, — tłumaczył towarzysz Egona — bo ciekawość cór Ewy tak jest silna, że wystawiają się one chętnie na wszelkie niebezpieczeństwa, aby tylko ciekawość swą zaspokoić.

— Powód dla którego ona nie przyszła, jest mi zupełnie obojętny — odparł baron zniecierpliwiony — dość, że nie przyszła.

Doszli do rogu ulicy, przy której stał zamknięty powóz. Baron dał woźnicy rozkaz, aby wrócił sam do domu, następnie skinął na dorożkę i kazał się zawieźć wraz z towarzyszem do jego mieszkania.

Tam zdjął perukę, brodę i okulary; zmył szminkę z twarzy i włożył zwykłą swą, elegancką, garderobę.

— Schowaj mi te łachy! — rzekł, wskazując na rzeczy, które dopiero co włożył.

— Jak pan rozkaże, panie Kohen — rzekł stary uniżenie.

Baron rzucił mu gromiące spojrzenie.

Twoja głupota przechodzi wszelkie granice — krzyknął — powinieneś przecież wiedzieć, że wraz z tą maskaradą, złożyłem także rolę Kohna.

— Przepraszam — rzekł starzec pokornie.

Egon spojrzał pogardliwie i rzekł:

— Jak cię znów będę potrzebował, to się do ciebie zgłoszę.

— Do usług, panie baronie! — odpowiedział płaszcząc się.

Baron wyszedł, a towarzysz jego z świecą w ręku sprowadził go ze schodów, otworzył mu bramę i polecił się raz jeszcze jego pamięci.

Na wszystkie te wywody baron odpowiedział tylko jednym słowem:

— Do widzenia!

Na ulicy zawołał na dorożkę i kazał się zawieźć do hotelu, a starzec wrócił do swego pokoju, schował wszystkie rzeczy, które zdjął Egon, starannie do szafy i mruknął sam do siebie:

Jaki on jest rubaszny i bezwzględny! Ale będzie mi musiał wszystko wynagrodzić. Za każdą obelgę musi zapłacić mi conajmniej 50 reńskich.

Zamknąwszy drzwi, otworzył żelazną kasę i zatopił się w oglądaniu swoich skarbów. Weksle, hipoteki, papiery wartościowe zastępowały mu zupełnie brak kochającego serca.

Co za nędzarz z całym swoim bogactwem! Najuboższy robotnik, posiadający przywiązanie poczciwej żony i dobrych dzieci jest wielokrotnym milionerem w porównaniu z tym samotnym starcem.

ROZDZIAŁ LXXXIV.

Na pełnym morzu

Opuściliśmy lekkomyślną Zuzię w chwili, gdy okręt „Adelajda" odbiwszy od brzegu, rozpoczął swoją daleką podróż.

Łzy Zuzi prędko obeschły, gdyż żywe, czarne jej oczy znalazły szerokie pole do obserwacyj. To też rozglądała się po nim ciekawie, a jej pełna twarz zdradzała wyraz zadowolenia.

— Gdyby mieszkańcy z Königswalden wiedzieli, że istnieje taka wielka woda — mruknęła — otworzyliby oczy i gębę na widok tego bezgranicznego przestworza.

Dobry jej humor znikł jednak bez śladu, gdyż mąż jej zbliżył się do niej i w przystępie czułości uścisnął ją.

Ciąg dalszy na str. 213.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

NOCĄ...

Już bladą nocą spowinięta wioska —
Cisza jest wszędzie, że aż w uszach dzwoni,
Minuta jedna za drugą wciąż goni,
A tylko uciec nie zamierza troska.

Cisza jest wszędzie, tylko serca bicie
Głośno w tej ciszy nocy się rozlega,
Bo nawet cicho drzemią krzewy, drzewa,
Zda się, zasnęło całe niemal życie.

Ucisz się serce i przejmij tą ciszą,
Bo wszak twe szczęście tak już niedaleko,
Ostatnie dni prędko w dal uciekną,
A dzisiaj, niech cię marzenia kołyszą...

„Maria".

„CZOŁEM"!

„Szary Sokół". Stanowczo nie ma Pan szczęścia, jeżeli chodzi o wysyłkę listów, gdyż nie posiadam adresu „Trzpiotki". Skoro jednak Pani ta adres swój nadeśle, nie omieszkam Jej zaraz list Pana przekazać. Cierpliwości zatem, „Szary Sokole"! Dopisek Pana zamieszczam:

„Hallo! „Januszko"! Dlaczego nie odpowiedziała mi Pani na mój list? Czekałem tak długo!

Sokole — czołem! — przesyłam wszystkim Sokolicom i Sokołom, oraz obozwi cygańskiemu, mieszczącemu się w „Krainie".

Czołem, wszyscy szczerzy Sympatycy „Krainy"!

W POSZUKIWANIU PRZYJAŹNI

„Romantyczka". „Mili Sympatycy „Krainy", a szczególnie mieszkańcy Poznania i okolicy napiszcie do mnie!

Mieszkam w Poznaniu, lecz nie znam tutaj nikogo — czuję się bardzo samotną. Pracuję osiem godzin dziennie, więc rozporządzam dużą ilością czasu. Brak mi przyjaciółki, jeżeli więc któraś z Pań tęskni za prawdziwą przyjaźnią, niech napisze do mnie. Mam lat 21, średni wzrost i pogodne spojrzenie jasnych oczu.

Listy proszę kierować na — poste - restante, Poznań 1, (dla „Romantyczki").

PROŚBA O LISTY

„Rozkoszna Dziewczynka" przesyła miłe pozdrowienia „Smutnej Steni z pod Grudziądza", „Sympatycznemu Blondynowi", „Orliczowi", „Wytwornemu Włóczędze" i „Jesiennemu Wichrowi".

Poza tym, „Rozkoszna Dziewczynka", jedna z świeżo przyjętych Sympatyczek „Krainy", prosi o listy.

„Uważam — pisze Ona — że gdy nawiążę korespondencję, ukrócę moje nudy i smutki, jakie wypełniają po brzegi niektóre dni na wsi".

PSEUDONIM NIE ZGADZA SIĘ Z NAZWISKIEM

„Milutka Lena". Przykro mi, że nie udało się Pani nawiązać trwalszej korespondencji, ale pocieszam się, że z biegiem czasu napewno osiągnie Pani to, o co Pani chodzi. Podany przez Panią pseudonim nie zgadza się z nazwiskiem.

Miłe pozdrowienia odwzajemniam w imieniu Wujka Janusza i swojem.

Przesyłam również w imieniu Pani serdeczne pozdrowienia — „Babiniczowi", „Wytwornemu Włóczędze", „Wirrytowi", „Edkowi z Gdyni", „Łowcy Przygód" i p. A. J. z Turzyna.

Uściski dłoni — „Echu Wsi" i „Smutnej Iwonce".

„UCIESZĘ SIĘ"...

„Wioślarz" pisze: „Mieszkam nad Notecią i z zamiłowaniem oddaję się sportowi wioślarskiemu. Jestem 24-letnim szatynem o ciemnych oczach.

Ucieszę się, jeżeli ktoś zainteresuje się mną.

Miłe pozdrowienia zasyłam dla — Irki i Łucki z Osieka n/Notecią.

„ECHO WSI" MÓWI O SOBIE...

„Echo wsi". Jeżeli ktoś interesuje się „Echem wsi" i chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o tej Pani, niż wie, niech sobie przeczyta, proszę, poniższy list:

„Pisałam już kilka razy do „Krainy", lecz do tej pory nie uzupełniłam, kim właściwie jestem. Otóż pochodzę z rodziny ziemiańskiej. Mieszkam na wsi dość dużej i ładnie położonej. Okolica tutejsza obfituje szczególnie w jeziora. Latem jest tu dużo urozmaicenia, ale i teraz, zimą, urozmaicam sobie, jak mogę, czas. Biegam więc na łyżwach, gdy jest duży śnieg jeżdżę na nartach i urządzam kuligi. Resztę czasu spędzam na robótkach przy dźwiękach radia. Tyle o sobie. Kończę i przesyłam dla całego zespołu „Krainy" serdeczne pozdrowienia".

Z NIECIERPLIWOŚCIĄ CZEKAM

„Taki jeden". Pocztówka Pana wprawiła mnie w doskonały humor. I czas najwyższy, że przyszła, gdyż list Jana Szybkobiega mógłby rzeczywiście powędrować w świat. Jest Pan wspaniały!... mało — morowy! To stwierdziłam po przeczytaniu ostatniej pocztówki Pana, wyjaśniającej tajmenicę listu, oznaczonego literą „Z". Czekam, z niecierpliwością czekam na nowy list, względnie pocztówkę od najmilszego pod słońcem „nicponia".

POZDROWIENIA

„Draniulek II" przesyła pozdrowienia „Latorośli Kaszubskiej".

DLA „KUNY LEŚNEJ"

„Żołnierzyk z Grodu Lecha". Zaintrygował mnie Pan — cóż to za powody skłaniają Pana do milczenia? Chciałabym bardzo dowiedzieć się prawdy!

Dla „Kuny Leśnej" kilka słów od „Żołnierzyka z Grodu Lecha":

„Dziękuję Pani gorąco za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam, oraz łączę szczery uścisk dłoni".

ABY SIĘ NIE POWTARZAĆ...

„Samotna Oleńka". Aby się zbytnio nie powtarzać, nie przedrukowuję listu Pani, tylko podaję do ogólnej wiadomości, że nie życzy sobie Pani, aby moja fotografia była umieszczona w „Krainie". Bezapelacyjnie przechodzi Pani na stronę obozu opozycyjnego i spodziewa się Pani, że więcej Sympatyków uczyni to samo.

Dalszą część listu Pani zamieszczam już bez zastrzeżeń:

„Dzinko", pozdrawiam i dziękuję za pamięć. Może poświęcisz mi maleńki wierszyk? Nie wiedziałam, że piszesz wiersze, Lusiu. Uściskaj Siostrzyczkę. Napiszę wkrótce!

„Gorczyco", dziękuję za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam. Może napisze Pan do mnie — chętnie odpowiem.

A teraz prośba do wszystkich Sympatyków: kto wypożyczy mi książkę — „Skazana przez życie" — nie wiem, niestety, jakiego autora?

POZDROWIENIA Z ZAGRANICY

„Opuszczona Owieczka" wyjechała w tych dniach do Niemiec i obecnie pędzi szczęśliwy żywot w pięknych okolicach nad Renem. Stamtąd przesyła nam serdeczne pozdrowienia i wiadomość, że po powrocie do kraju podzieli się z nami wszelkimi wrażeniami wywiezionymi z Nadrenii.

Cieszymy się już naprzód, „Opuszczona Owieczko" i życzymy Pani doznania jak najwięcej przyjemności podczas miłego pobytu zagranicą.

Z DZIKĄ ROZKOSZĄ

„Sportowiec-tennisista" dziękuje „Echu Wsi" za miłe i szczere pozdrowienia, które w pełni odwzajemnia.

„Rose - Marie" zawiadamia, że z dziką rozkoszą nawiąże z Nią korespondencję. Oczekuje listu i miło pozdrawia.

ŻYCZENIA IMIENINOWE

„Przedwiośnie" śle wszystkim Solenizantkom i Solenizatom z dnia 4 marca najszczersze życzenia, chociaż nieco spóźnione.

CHOCIAŻ Z ODDALI...

„Córka Wichru". Nie pisała Pani, ale myślała o nas często i dużo — to najzupełniej wystarcza. Wdzięczną jestem Pani za te wszystkie kochane słowa, zawarte w ostatnim liściku, bardzo wdzięczna. Daleka jestem od Pani, ale chociaż z tej oddali ściskam Panią i ślę Jej słowa współczucia z powodu długiej i poważnej choroby. Na następny liścik czekam z utęsknieniem.

Gorące uściski dla „Białej Uajali", moc pozdrowień dla „Stęsknionej Irki" i „Samotnego Roma" — w imieniu Pani przekazuję.

LIST PRZEKAZAŁAM

„Latorośl Kaszubska". List przekazałam. Głos Pana w sprawie umieszczenia fotografii zanotowałam sobie. Pozdrowienia dla „Dziewczęcia z dalekiej Ojczyzny", „Roztańczonej — rozśpiewanej Pomorzanki", „Alohy", „Ezecheli" i „Izarys" — przekazuję. Dla Pana załączam mocny uścisk dłoni.

NIE BYŁOBY SENSU

„Wesoły Człowiek". Niestety, nie mogę Panu zdradzić dalszych losów Wernera, gdyż wówczas nie byłoby sensu kończyć rozpoczętej powieści. Pozostanie za tym Panu śledzić osobiście dalsza akcję powieści i dowiadywać się stopniowo o przygodach poszczególnych bohaterów. Pozdrawiam Pana i na zakończenie zamieszczam jeszcze kilka Pańskich słów:

„Hallo! „Chiński Zew"! Za pozdrowienia dziękuję i w pełni je odwzajemniam. Czy nie zechciałaby Pani nawiązać ze mną wymiany myśli?

Jak najserdeczniej pozdrawiam: „Czarującą Ninę", „Adę z pod Wolsztyna", „Ar", „Dziewczę z dalekiej Ojczyzny" i „Fotoamatora".

ŻYCZENIA IMIENINOWE

„Bursztynowe Serduszko". Nie mogłam odmówić Twojej słodkiej prośbie, Krzysiu, i jak widzisz, wypełniam ją skrupulatnie. Chyba jesteś zadowolona? Na dzień imienin ślę Ci dużo, dużo życzeń, a szczególnie życzę gorąco, aby przesłał smutnej Krzysi, moc dobrych słów, „Ktoś" przez Nią kochany i bardzo Jej drogi.

Zakończenie listu Twego, Dziewczynko Miła, zamieszczam z całą przyjemnością:

„Kochanym „Siostrzyczkom" z „Krainy", które dzisiaj wraz ze mną obchodzą imieniny (13 marzec!) przesyłam tysiące życzeń.

„Elżuniu z Torunia", uśmiecham się dzisiaj ślicznie do Ciebie i jestem myślami przy Tobie...

„Pani Lusieńko", proszę przyjechać do Krzysi na imieniny, czekam!

„Zapomniana Syleno", „Marysiu" i P. T. Ch. z Strzelna, przyjmijcie moje promienne uśmiechy i uściski rąk.

„Hanko z nad Niemna", tak mi Cię żal, Haniu. Dlaczego mnie to nie spotkało, tak chętnie poniosłabym te ofiarę za Ciebie a Ty, Haniu, byłabyś nadal szczęśliwą. Przyjm ode mnie moc siostrzanych uścisków i pomyśl czasem o mnie"...

APEL MIESZKANEK ODLUDNEJ WIOSKI

„Jagódka II", *„Lusieńka"* i *„Roześmiany Hajduczek"*, trzy wesołe siostrzyczki, piszą:

„Dawniej mieszkałyśmy w mieście i bawiłyśmy się świetnie, obecnie zaś jesteśmy zmuszone pędzić żywot na odludnej wiosce, pozbawione wszelkich rozrywek i odpowiedniego towarzystwa.

Przesyłamy serdeczne pozdrowienia całemu zespołowi „Krainy", a szczególnie „Wytwornemu Włóczędze", „Latorośli Kaszubskiej" i „Białemu Zwidowi". Oprócz tego prosimy wszystkich chętnych o napisanie do nas. Czekamy z nadzieją, pełne tęsknoty!"

KORESPONDENCJA

„Bujando del Nabierando". Osoba, kryjąca się pod powyższym pseudonimem, pragnie przeprowadzać w listach żywą szermierkę słowną z Czytelniczkami „Moich Powieści".

ZA LIST TEN — BARDZO DZIĘKUJĘ

„Ikar III“. Ostatni list Pana zainteresował mnie ogromnie, a szczególnie słowa, w których scharakteryzował Pan bardzo trafnie moją pracę. Za list ten — bardzo Panu dziękuję!

„Ikar II!“ przesyła do wiadomości: „Smutna Kazieńko“! Za pozdrowienia dziękuję i załączam całą moc swoich.

„Dzino“, przepraszam za milczenie, lecz z pewnych powodów postanowiłem przerwać naszą korespondencję.

„Mariko“, dziękuję Ci za pozdrowienia.

„Carmen“. przyjm ode mnie uścisk dłoni!

Dla Czytelników „Moich Powieści“ z okolic Kcyni i Szubina — ślę osobne pozdrowienia“.

„PRZYKRO MI BARDZO“...

„Rozkoszna Dziewczynka II“. Jak zdążyłam zauważyć, nie ma Pani szczęścia, jeżeli chodzi o wybór pseudonimów, gdyż w „Krainie“ mamy już jedną „Rozkoszną Dziewczynkę“. Pozostanie więc Pani pomyśleć znowu nad wyborem nowego pseudonimu, aby uniknąć wszelkich nieporozumień.

Zgodnie z prośbą, zamieszczam powtórny apel Pani i życzę Pani tym razem lepszych rezultatów.

„Pierwszy mój apel przebrzmiał bez echa — przykro mi bardzo. Tym więcej, że rzeczywiście zależy mi na nawiązaniu korespondencji. Mieszkam na wsi, dosłownie zabitej deskami. Nawet dworek nasz jest otoczony tak wysokim parkanem, że wrażenie odludzia potęguje się jeszcze więcej. Moją rozrywką to książki i jazda konna. Lubię, z przymkniętymi powiekami, pędzić w dal zdana na łaskę mego wierzchowca. Wtedy zwykle nie myślę o niczym i pochylona w siodle czuję tylko ostry powiew wiatru.

Ale... odbiegłam nieco od tematu. Chodzi mi bowiem o listy, o nawiązanie korespondencji. Piszcie więc wszyscy do mnie, a szczególnie Ty, „Słodka Danusiu“, „Smutna Kazieńko“, „Oryginale“, „Ziemianinie S.“, „Podchorążaku z Grudziądza“, „Mixerze“, „Pacie“ , „Patachonie“. Czekam!“

CZYŻ WARTO?...

„Mixer“. Zamierzana „robinsonada“ może przynieść Panu dużo zadowolenia i satysfakcji, albo też wielkie rozczarowanie. W każdym razie, radzę Panu, głęboko zastanowić się, czy warto wyruszać w tak daleką i uciążliwą podróż bez grosza w kieszeni i czy wystarczy Panu sił na przemierzenie tak olbrzymiej połaci kraju. Wyprawa Pana byłaby zrozumiała, gdyby w grę wchodziły cele naukowe, ale dla prostego zakładu, czyż warto narażać zdrowie i siły? — Proszę, niech się Pan nad tym zastanowi!...

Na zakończenie pozdrawiam w imieniu Pana „Gwiazdeczkę“, „Śnieżyczkę“ i „Reniutkę“, „Dzinkę“, „Elżunię z Torunia“ i „Czarującą Ninę“.

„ŻYCIE MOJE PŁYNIE WARTKO, ALE SMUTNO“...

„Rewelers“. „Życie moje, choć płynie wartko i szumnie, jak wezbrany strumień, to jednak płynie smutno. Może dlatego, że daremnie szukam tego, co ma się dla mnie stać najdroższym i najmilszym...

Jestem szatynem, średniego wzrostu o bardzo miłym wyrazie twarzy. Może zainteresuję kogoś w „Krainie“, i znajdę w końcu szczęście, które dotychczas zdobyć nie byłem w stanie?

Jak najserdeczniej pozdrawiam — „Nelli“, „Przedwiośnie“, „Promyczek“, „Maruszkę“, „Smutną Irkę“, „Roześmianą Janettkę“, „Nieszczęsną“, „Maleńką Dzidzi“, „Kochanie“ i „Smutną Stenię z pod Grudziądza“.

WYSZEPTAŁY MI DUŻO

„Przedwiośnie“. Białe, drobne dzwoneczki konwalii wyszeptały mi dużo, dużo. Rączkę, która je zrywała, ściskam serdecznie i pozdrawiam serduszko, które jest mi tak bardzo życzliwe i oddane.

POZDROWIENIA

„Głos serca“ śle serdeczne pozdrowienia „Słodkiej Danusi“ i: „czy się przypadkiem nie znamy?“

„Smutną Eli“, „Dziewczę z dalekiej Ojczyzny“ i „Przedwiośnie“ pozdrawia również i chętnie nawiąże z tymi Paniami korepondencję.

POSTARAM SIĘ W PEŁNI ODWZAJEMNIĆ

„Niebieskooka Zinka“. Żałuję, że tak „późno zdecydowała się Pani napisać do „Krainy“, skoro „Moje Powieści“ czyta Pani od początku ich istnienia. Miło mi bardzo, że darzy mnie Pani żywym uczuciem sympatii i życzliwości — uczucia te postaram się w pełni odwzajemnić. Tymczasem zaś pozdrawiam Panią i zamieszczam apel Pani:

„Nieznane i Nieznani! Piszcie do mnie dużo i szczerze. Jestem dziewczynką o dużych, niebieskich oczach i długich, czarnych włosach. Chętnie odbiorę liściki od „Smutnej Irki“, „Promyczka“, „Białego Zwidu“ i „Czarnego Drypsa“.

Hallo! P. Marysiu Bujakówno, czy jesteś jeszcze w Czarnkowie? Napisz i Ty do mnie!“

„SERCE MOJE TĘSKNI ZA KIMŚ BLISKIM, NIEZNANYM I KOCHANYM“...

„Mały Staś“. Bardzo sympatyczny list Pana — odebrałam. Treścią jego dzielę się z całą „Rodzinką“:

„Dość długo odnosiłem się z rezerwą do „Krainy“, ale wreszcie przekonałem się, że dział ten, cechuje naprawdę szczerość i serdeczność. Piszę więc, tak samo, jak tylu innych, aby nawiązać kontakt z członkami ogromnej „Rodziny“. W pierwszym rzędzie przedstawiam się:

Jestem ciemnym blondynem o dużych, niebieskich oczach, które patrzą śmiało i wesoło na świat, lecz muszę zdradzić, że jestem brzydkim. Mieszkam w malowniczo położonej wiosce, w której życie płynie mi bez trosk, tylko serce moje tęskni bez końca za kimś bliskim, nieznanym i kochanym“...

ŻAL MI...

„Róża bez woni“. Zapewnie to Panią zdziwi, ale... żal mi ogromnie pierwszego pseudonimu Pani. Lubiłam go bardzo! Czy nie zechciałaby Pani powrócić do niego?

Łączę dla Pani serdeczne uściski. Pozdrowienia, przeznaczone dla: „Małej Konwalijki“, „Dziny“, „Echa Wsi“, „Przedwiośnia“ i „Sonii“ — przekazuję!

ZGODNIE Z APROBATĄ

„Dzinka“. Fotografię otrzymałam. Sprawiła mi Pani naprawdę miłą niespodziankę — dziękuję! Zgodnie z aprobatą, fotos Pani ukaże się w „Krainie“ jeszcze w bieżącym miesiącu. Łączę miłe pozdrowienia!

Teczka Wujka Janusza

CZEKAM NA INNE WIERSZYKI

„Dziewczę z dalekiej Ojczyzny“. Wprawdzie nie jestem siwym, pochylonym wiekiem, wujkiem ale pomimo to może Pani wpaść do naszej redakcji i wykonać przyrzeczenie. Bardzo proszę!...

Wierszyk — „Przyjdź do mnie“ — jest pełen uczucia i sentymentu, ale forma jego pozostawia jeszcze cośkolwiek do życzenia.

Czekam na inne wierszyki i jak najmilej Panią pozdrawiam!

WIERSZYK DO DRUKU JESZCZE ZA SŁABY

„Echo Wsi“. Nadesłany przez Panią wierszyk wykazuje pewną dozę talentu, oczywiście, ale jest jeszcze za słaby do druku. Pozdrawiam Panią i czekam niecierpliwie na następne wierszyki.

PROSZĘ O NADESŁANIE RĘKOPISU

P. Edmund M., Aleksandrów Kujawski. Nie podał Pan w liście, jaki charakter ma powieść Pana, wobec tego proszę Pana, o nadesłanie rękopisu, celem dokładnego przejrzenia powieści. Łączę miły uścisk dłoni!

CHYBA NIE BĘDĘ CZEKAŁ DŁUGO?...

„Stella Maris“. Chociaż nie widziałem jeszcze zdjęcia Pani, to jednak jestem przekonany, że Wujek Pani ma rację. O zdjęcie to napraszam się bardzo, pomimo, że z pewnych względów nie mogę wypełnić postawionego przez Panią warunku.

Kończę moją odpowiedź ze względu na brak miejsca i ślę Pani moc serdeczności. Chyba nie będę czekał tak długo na następny list Pani, jak musiałem czekać na ostatni?...

„Post scriptum“ z listu „Stelli Maris“: „Hallo! „Tu - Ryszard“! Pragnąłbym nawiązać z Panem korespondencję, gdyż zainteresował mnie Pan swymi poglądami, bardzo zbliżonymi do moich. Czekam na miły odzew!

Moc pozdrowień ślę: „Romantycznemu Śpiewakowi“, „Brunetowi z Pałuk“, „Granatowi 03“ i „Pustelnikowi z nad Drwęcy“.

ZAMIESZCZĘ W PRZYSZŁYM KARNAWALE

P. Mieczysław G. Sosnowiec. Wiersz Pana — „Bal maskowy“ — zamieszczę oczywiście dopiero w przyszłym karnawale. „Moje sympatie“, zamieszczam dzisiaj. „Przebaczenie“ — ukaże się w jednym z najbliższych numerów.

List z fotografią odebraliśmy.

Przesyłam Panu pozdrowienia w imieniu całej redakcji i swojem.

MOJE SYMPATIE

O, najmilsze, drogie panie,
Z ukochanej mej „Krainy“,
Które swymi liścikami
Rozjaśniacie szarość dni,
Prośby wasze i zwierzanie,
Lub z dalekich stron nowiny,
Czytam stale godzinami,
Gdy tak bardzo smutno mi...

Cenię „Białą Uajali“,
Za jej wiersze przewspaniałe,
Które w sobie mieszczą tyle
Szczerych i serdecznych słów,
Pewnie nigdy się nie żali,
Że ma powodzenie małe
I rozkosznie spędza chwile...
Kiedy nam napiszesz znów?

„Słodka Gilda“ — to kobieta,
Która wciąż mi imponuje
I od nocy, aż do ranka
Serce moje o niej śni...
Oprócz tego ja, poeta,
Do dwóch pań sympatię czuję:
Jedną z nich jest cudna „Blanka“,
Drugą — dumna „Rose - Marie“...

A „Czarnulka“ ta ze Świecia,
Raz mi śliczny list przysłała
I prosiła o słów parę,
Załączając fotkę swą,
A dziś zapomniała Miecia,
Stała się zarozumiała,
Bez niej życie takie szare
I tak smutnie chwile mkną...

Mieczysław Grzegorski.

WOLAŁBYM...

„Kochanie“. Jestem tak mało ciekawym typem, że nie wiem, co Pani o sobie napisać. Wolałbym, aby Pani zjawiła się kiedyś osobiście w Żninie i stwierdziła, jak wygląda ten „najmilszy, najcudniejszy wujaszek“, który de facto jest sobie najzwyczajniejszym człowiekiem pod słońcem.

Wierszyk miły. „Księżniczka z morskiej pianki“ niewątpliwie ucieszy się nim bardzo. Serdecznie pozdrawiam!

ECHO DAWNYCH DNI...

Dla „Księżniczki z morskiej pianki“.

W samotności dusza śpiewa —
O minionych dawno dniach,
W samotności mi opiewa
Przeszłość, utopioną w łzach.

Migotania gwiazd na niebie,
Za oknami poszum drzew —
Wszystko przypomina ciebie,
Niby piosnki jakiejś zew.

Coś za serce nagle chwyta,
Coś mu każe silniej bić —
Jakiś głos wewnętrzny pyta:
Jakże mi bez ciebie żyć? — — —

L. Z.

wood. Każdy nowy film, w którym popularna artystka występuje w nowej sukni, innych pantofelkach, z nową torebką itp. — powoduje natychmiast przewrót w „modzie" światowej.

Raj kobiet



J 78 026. Elegancka sukienka z prążkowanej wełny w kolorze jasno brązowym. Przybranie z kremowego jedwabiu.

J 78 047. Przemiła sukienka dla młodej panienki z wełnianej krepy. Kołnierzyk z jasnej organdyny.

J 78 046. Sukienka z jedwabnej georgett'y o młodocianym fasonie rękawów i kołnierzyka.

J 78 025. Bardzo ładna, sportowa sukienka z wełnianej krepy. Całości dopełnia śliczny kołnierzyk z georgett'y.

Kroje powyższe (Lyona) można nabyć w naszej administracji w cenie 1,90 zł.

2 miliardy dolarów wydały Angielki i Amerykanki na stroje

Jak donoszą pisma angielskie i amerykańskie, obliczono, że w ubiegłym roku w tych krajach wydano astronomiczną sumę dwóch miliardów dolarów na toalety, które po kilkumiesięcznym noszeniu zostały wyrzucone. Mimo, iż znajdują się w dobrym stanie, stały się nie do użytku, ponieważ wyszły... z mody.

Kaprysy mody z jednej strony rujnują mężów, z drugiej jednak strony przyczyniają się do zwiększenia produkcji.

Jeszcze przed dziesięciu laty produkcja sztucznego jedwabiu wynosiła pół miliarda dolarów, obecnie zaś wzrosła do czterech i pół miliarda.

Jak olbrzymie sumy wydają kobiety, świadczyć może fakt, że Japonia posiada swą wspaniałą flotę wojenną, składającą się z wielu krążowników i łodzi podwodnych z sum, uzyskanych ze sprzedaży jedwabnych pończoszek i syntetycznych pereł.

Rewolucja mody kobiecej ogarnęła wszystkie sfery. Nie tylko damy, z towarzystwa, ale kobiety ciężko zarabiające wciągane są w orbitę działania dyktatorów mody. Nadużywają oni próżności niewiast i ciągną z tego szalone zyski.

W magazynach amerykańskich co miesiąc reklamuje się nowe „kreacje" paryskie lub wiedeńskie, które kosztują około 20 dolarów. Inne salony zamieniają „modę" co dwa tygodnie. Miliony dolarów płyną do kieszeni sprytnych przedsiębiorców, którzy rzucają na rynek najrozmaitsze drobiazgi.

W ubiegłym roku wprowadzono „modę" sztucznych kwiatów. Producenci zainkasowali 10 milionów dolarów. Fabrykant szklanych bransoletek zarobił 4 miliony dolarów.

Gdy w Anglii rzucono hasło „Teraz nosi się długie rękawiczki" — produkcja ich wzrosła z 250 tysięcy do 550 tysięcy funtów szterling.

Ukazanie się artystki filmowej na balu w plecionych pantoflach (ponieważ innych akurat nie miała) spowodowało wzrost produkcji tego rodzaju obuwia o dziesięć milionów dol.

Decydujący wpływ na kształtowanie się mody ma dziś nie Paryż lub Wiedeń, a Hollywood.

DOBRA GOSPODYNI

Sałata z ziemniaków ze śledziem. Na kilo ziemniaków wziąć trzy śledzie, po wymoczeniu oczyścić, wyjąć ości, pokrajać w cienkie paski i przekładać niemi wyżej podaną sałatę z ziemniaków. Sałata ta jest bardzo smaczna z sosem majonezowym który przyrządza się w następujący sposób:

Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, rozprawadzić łyżką rosołu lub wody, i po przestygnięciu, do letniego jeszcze dodawać naprzemian: dwie łyżki oliwy, żółtko surowe i łyżeczkę octu lub soku cytrynowego. Gdy zużytkujemy w ten sposób trzy żółtka, sześć łyżek oliwy i dwie łyżki octu, dodać nieco soli i cukru. Jeżeli ktoś chce mieć sos ostrzejszy, musi dodać nieco musztardy lub białego pieprzu. Wkońcu należy sos rozprowadzić do żądanej gęstości rosołem lub przegotowaną wodą.

Sałata z ziemniaków. Ugotować ziemniaki w łupinach, obrać i poszatkować w cienkie plasterki lub drobną kostkę. Żółtko surowe, uwiercone z odrobiną soli i pieprzu, wlać po odrobinie do oliwy; gdy zgęstnieje, dolać trochę octu, dodać drobnego szczypiorku, wymieszać dobrze i włożyć w ten sos przygotowane ziemniaki i zostawić w nim przed podaniem na kilka godzin, żeby ziemniaki przeszły zaprawą.

Sałata z cebuli. Cebulę cukrową należy obrać z skórki zewnętrznej, wrzucić do wrzącej wody i gotować przez 20 minut. Wyjąć z wody, by ostygła, rozłożyć na listki, z których się składa, zewnętrzne listki odrzucić, a wewnętrzne pokrajać wzdłuż. Zaprawić oliwą i sokiem z cytryny z wodą, dodać nieco pieprzu i soli.

Na sałatę tę należy brać po dwie cebule i sok z jednej cytryny na osobę.

Ze świata

Gołębie ratują życie ludzkie

Japońskie statki rybackie zaskoczyła burza w odległości 50 km od brzegów.

Niechybnie zatonęłyby rybackie okręty, gdyby nie pomoc, przybywająca w samą porę.

Ratunku wezwali rybacy nie przy pomocy aparatu radiowego, lecz przez wypuszczenie z klatek gołębi pocztowych.

Mimo szalejącej burzy przeleciały one do miejsca zamieszkania rybaków. Przyczepione do ich skrzydeł niewielkie skrawki papieru zawierały znaki.

Nie jest to pierwszy wypadek, że gołębie ratują życie ludzkie. Należy zaznaczyć, że wszystkie japońskie lodzie rybackie są od wielu dziesiątków lat już zaopatrzone w gołębie pocztowe, natomiast nie posiadają aparatów radiowych. Okazało się, iż ptaki spełniają swą rolę lepiej od najnowyszych zdobyczy techniki.

Rozwój techniki przyczynił się do jeszcze większego korzystania z usług gołębi pocztowych. Żaden kraj na świecie nie posiada tak wiele gołębi pocztowych jak Japonia. Wszystkie jednostki wojskowe w tym kraju są zaopatrzone w kilkaset gołębi. Praca spełniana przez te ptaki, jest olbrzymią, a gołębie są nie do zastąpienia.

Zaopatrzone w miniaturowe aparaty fotograficzne gołębie przelatują nad okopami nieprzyjacielskimi dokonują zdjęć fotograficznych i wracają na miejsce skąd je wysłano.

Od 13 wieku znajdują się gołębie w powszechnym użytku w krainie Wschodzącego Słońca. Dziś znajduje się tam 80.000 gołębi, z czego 20.000 stoi do dyspozycji armii.

Rybacy, poławiacze perel, lekarze, policja — korzystają z usług tych ptaków.

Samoloty zamiast psów

Minęły dawno romantyczne, pełne przygód czasy Jacka Londona, którego powieściowi bohaterzy wędrowali z zaprzęgiem psów po bezmiarach polarnego koła, szukali szczęścia w złotodajnym klondyke, penetrowali obszary Alaski i niezbadanych kanadyjskich puszcz.

Po długim okresie, w którym małe sanie ciągnione przez psy były najważniejszym środkiem transportowym, nastały obecnie czasy aeroplanów, które w dużym stopniu przyczyniają się do rozwiązania zagadnienia transportu. Obecnie lotnictwo obsługuje niemal wszystkie części tego terytorium Alaski. W roku 1936 aeroplanów w ilości 79 przewiozły 16.982 pasażerów, robiąc 2.130,929 mil lotniczych.

Miasto ogrzewane przez gorące źródło

Stolica tak obfitującej w wulkany i gorące źródła wyspy Islandii, miasto Reykkavik, ma być niebawem cała ogrzana tanim kosztem gorącą wodą z tych źródeł.

Już dzisiaj przez miasto przepływa nigdy nie zamarzający, pomimo długich, surowych zim islandz-

kich. strumień gorącej wody, w którym gosposie reykiavickie piorą bieliznę; zarząd jednak miasta postanowił zaopatrzyć wszystkie domy stolicy w gorącą wodę tak do ogrzewania mieszkania, jak do użytku domowego, nie z tego strumienia, lecz z obfitujących w nią źródeł doliny Reykir, odległej o 16 kilometrów od miasta.

Ponadto wodociąg ten służyć ma do ogrzewania wielkich cieplarni, które powstaną w dolinie Reykir, a gdzie hodowane będą nieznane w Islandii drzewa stref umiarkowanych oraz rośliny stref podzwrotnikowych.

Jak wiadomo, Islandia nie posiada wcale drzew, ani zbóż. Dojrzewają w niej i to tylko w niektórych tylko miesiącach kartofle.

Najszybszy pianista grywa w rękawiczkach

Piękno muzyki zależne jest od oceny słuchaczów i nie daję się zmierzyć żadnym sposobem. Ale środki dzięki, którym osiąga się żądany efekt, podlegają oczywiście prawom fizycznym. Z tego właśnie założenia wyszedł pewien Amerykanin, postanawiając stać się „najszybszym pianistą świata". Nazywa się on Henry Scott i był zawsze doskonałym a przynajmniej biegłym pianistą. To, że gra on tak szybko jak chyba nikt na świecie, stwierdził całkiem przypadkowo. Pewnego mroźnego dnia wrócił z przechadzki do domu ze skostniałymi palcami. Aby rozgrzać ręce zaczął natychmiast grać na fortepianie i to nie zdejmując nawet rękawiczek. Początkowo grał wolno, a stopniowo, rozgrzewając się — coraz to prędzej. Po upływie godziny zauważył, że palce jego poruszały się w rękawiczkach, wskutek wytwarzanego gorąca, dużo prędzej, niż bez nich. Od tego czasu z zasady już do gry na fortepianie wkładał rękawiczki i w nich też ustalił oryginalny „rekord światowy". Gdy bowiem Paderewski, słynny ze swej techniki dochodzi do 26-ciu uderzeń w klawisze na sekundę, jemu udało się uderzyć w ciągu sekundy, aż 44 razy, co stwierdziły ponad wszelką wątpliwość zegarki stopperowe.

Serce matki

(Nowelka)

Kuchenka jest mała, lecz niezwykle czysta. Aluminiowe naczynia, skrupulatnie wyczyszczone, wiszą na ścianie, na półeczce tuż obok, w należytym porządku ustawiono puszki z produktami w ciemnym kącie nad zlewem połyskuje lśniącym refleksem mosiądz kurka wodociągowego. Na gazowej maszynce terkoce coś w garnku — apetyczny zapach rozchodzi się po kuchni. Rzekłbyś, że gospodyni, niezwykle czysta i skrzętna, wyszła na chwilę stąd po chleb do sklepiku i zaraz — tylko patrzeć — wróci...

W pokoju, przylegającym do malutkiej kuchenki — w jadalni — nakrycie na stole jest rozłożone: dwa talerze ustawione naprzeciw siebie, na ceracie lśniącej od białości — zapewnie czeka na szczęśliwą parę, która ta niedługo zasiądzie.

Słychać kroki w sieni: oto mężczyzna, pierwszy — trzyma spory bochenek chleba i małą wiązkę kwiatów. Ustawia je w wazoniku na środku stołu.

Zadowolony, ręce oparł na biodrach i przypatruje się wesołymi oczami nakryciu na stole. W kącie stoi rozpakowana duża skrzynia, widać w niej rowerek dziecięcy z błyszczącego niklu.

— To dopiero będzie się cieszył smyk! — powiada głośno mężczyzna.

Przecież to dzisiaj jego urodziny: kończy właśnie sześć lat! Sześć lat — to już prawie człowiek! Mały człowieczek, który ubóstwia swego tatusia, nie mniej, niż ten swego syna! Ach! gdybyż nie stało tego malca, jak trudno byłoby znieść tę całą nędzę życia, która zawisła nad nim po tym, gdy zaznał tyle szczęścia!

Przykucnięty przed rowerem, który za chwilę wywoła wybuch radości u malca, Adam Kleszcz marzy: Trzy lata! Trzy lata minęły od chwili, gdy Joanna porzuciła go, gdy zostawiła go tutaj z trzyletnim chłopczykiem — Stefusiem... Że też potrafi to wytrzymać serce matki! Przebaczyłby jej wszystko, lecz tego, że odeszła od dziecka — zapomnieć nie może! Śliczna była ta jego ukochana Joanna! Miała lat dwadzieścia pięć, wielkie, aksamitne, czarne oczy, smukła, wiotka, delikatna, pachnąca cała — o, tak to nie była stosowna żona dla zwykłego robociarza! Zakochał się w niej po same uszy, ona też, a może tylko wydawało mu się, że ona też go kochała... Dlaczegoż więc uciekła od niego? Czemuż go porzuciła? Nie, nigdy tego nie będzie pojąć w stanie!

Litowano się nad nim w całej dzielnicy. W fabryce — koledzy przebąkiwali: „Ach, ty biedaku... męczysz się sam z dzieckiem!"...

— Proszę się nie litować nade mną! Nie potrzeba mi współczucia! Dam sobie sam radę!

Dumny, zamknął się, zwarł cały w sobie — nikt przeniknąć nie zdołał męki jego duszy. Widziano tylko, jak dwa razy dziennie, rano i wieczorem szedł młody człowiek schludnie odziany z trzyletnim chłopczykiem na ręku. Mały uśmiechał się do ojca, który go odprowadzał do przedszkola i po pracy wstępował po niego z powrotem. Potem Stefanek podrósł, poszedł do szkoły, a wieczorem zasiadali do wieczerzy, potem bawili się razem lub ojciec z nim rozmawiał, jak starszy kochający brat...

Mały często wspominał swą matkę. Wiedząc, iż dnia pewnego będzie mu trzeba oznajmić prawdę, powoli przygotowywał go do niej:

— Twoja mamusia, synku, wyjechała — daleko, daleko stąd.

— Dlaczego do nas nie napisze listu stamtąd, powiedz, tatusiu?

— Bo jest chora, kochanie.

Długo po tej rozmowie mały nie zagadywał więcej o matkę, lecz Adam dostrzegał często zamyślenie dziecka — na pewno myślało o matce.

Pewnego dnia przyniósł ze szkoły fotos, wyobrażający artystkę kinową.

— Patrz, tatusiu! Prawda, że podobna do mojej mamusi? Takie same śmiejące się oczy. Powiedziałem kolegom, że to moja mama. Ale oni śmiali się i powiedzieli: — Nie byłeś jeszcze w kinie, to nic nie wiesz! — To mnie zmartwiło, tatusiu. Ale nie szkodzi — schowam sobie te fotografię, będę sobie przypominał mamusię, gdy na nią spojrzę!

Gdzie też Joanna może teraz się znajdować?

Ach, po tym wszystkim — co to mnie może obchodzić! Niech nigdy zresztą nie wraca!... Czas do kuchni!

Adam Kleszcz powstał, wyjął rower ze skrzyni, umieścił go na wprost stołu, poszedł do kuchni i opasał się dużym fartuchem w kraty. Ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę wejść... To zapewne pani Bąkowa? Proszę bieliznę ułożyć na krześle, już idę. Niech pani spojrzy, co kupiłem Stefkowi na imieniny. Czy nie piękne? Już jestem, tylko zdejmę ten babski strój...

Nagle urwał i stanął, jak wryty. To nie była praczka, ta blada kobieta, wsparta o szafkę kuchenną, tak blada, iż zdawała się być bliską omdlenia...

— Joanna!...

Jakże się zmieniła! Jakże postarzała przez te trzy lata! Oczy jej już się nie śmiały i ani jeden kolorowy stroik nie rozjaśniał jej ciemnej, zniszczonej sukienki...

— Joanno... Pocóż tu przyszłaś?

Przysiągł sobie, że o ile spotka ją dnia pewnego, brutalnie powie jej w oczy, co myśli o jej postępku. Przysiągł, że ją potraktuje tak, jak się to należy, gdy kobieta ucieka od męża i zostawia maleństwo na łasce Bożej... Ale teraz oniemiał, zaskoczony niespodzianym jej przyjściem i tym wyglądem zbiedzonym i bolesnym.

— Adasiu, pozwól mi odpocząć chwilę... Serce bije mi tak mocno, że aż boli... Dziękuję ci. Widzisz — nie mogłam już dłużej wytrzymać! Nie byłam szczęśliwa — poznajesz to chyba po moim wyglądzie! Spójrz na moje oczy, tyle się napłakały! On mnie porzucił — tak — rozumiesz sam chyba! Nie, nie — nie mów nic, pozwól mi powiedzieć... pozwól...

— Nie wróciłam, Adasiu, do ciebie — nie. Kochałam cię bardzo, byłeś dla mnie dobry i oddany i wiem, że złamałam ci życie, bo cię opuściłam. Duma nie pozwoliłaby mi wrócić do ciebie, nigdy, słyszysz, przenigdy! Lecz wszelka duma korzy się przed miłością matki, która szarpie moje serce... Nie mogę żyć dłużej bez małego! Nie mogę dłużej. Tak, wiem — jestem podłą, wyrodną matką! Ale przecież każdemu może się wydarzyć chwila zapomnienia! Adasiu, oddaj mi dziecko, ja bez niego żyć nie mogę...

— Nigdy — słyszysz — nigdy to się nie stanie! — wyskandował Adam.

— Nie — nie — to niemożliwe, nie zepchniesz mnie w tę otchłań! Całe morze miłości kipi w mym sercu, milion całusów czeka na moje dziecko, Adasiu! Oh, gdy się ten skarb posiada — nie wie się, jaki jest drogi. Czyż nie okupiłam swej winy swoim cierpieniem, łzami, wylewanymi przez trzy lata, pełne piekącej, męczącej tęsknoty.

... Powiedz mi, jak on teraz wygląda? Czy jest duży? Dziś przecież, kończy sześć lat. To już dorosły chłopak. Jeszcze ma włosy w lokach? Nic mi nie chcesz powiedzieć? Chciałam go zobaczyć na ulicy, ale wszyscy mnie znają, wstydziłam się... Mógłby ktoś głośno powiedzieć: „Widzisz — to jego matka! A kto wie, co on myśli o swojej matce? Coś mu o mnie powiedział? Zlituj się, powiedz mi...

— Pocóż mamy o tym mówić, Joanno! To nie jest twój dom. Małego należy oszczędzać. Powiedziałem mu, że wyjechałaś... Lecz idź już sobie! Nie chcę, za żadną cenę, nie chcę pozwolić, aby cię zobaczył...

Joanna spojrzała na męża. Łzy zwolna spływały cichutko po jej twarzy i padały na szczupłe dłonie — złożone, jak do modlitwy.

— Pozwól mi jeszcze troszeczkę zostać tu, u ciebie, u nas w domu... Pozwól mi oddychać tym powietrzem, którym on oddycha... Jestem biedną kobietą, nad którą trzeba się zlitować i proszę cię tylko o chwileczkę złudzenia.... Ah, to jego konik na biegunach — to Siwek — jeszcze żyje? Pamiętasz? Kupowaliśmy go razem w wilię Bożego Narodzenia i byliśmy tak szczęśliwi, że aż kupcowa zwróciła uwagę: — „Widać, że państwo ze sobą dobrze żyją! Przyjemnie popatrzeć na takie małżeństwo w dzisiejszych czasach, kiedy takie okropności się dzieją!"

... Tak — to były nasze ostatnie święta, bo już — wkrótce po tym — odeszłam od was. Ach, tak, Adasiu, dobrze nam było z sobą, złączeni byliśmy jedną myślą i jednym sercem dla dziecka i dla naszego dziecka...

Szlochała teraz.

Upłynęło zaledwie kilka sekund, gdy drzwi się nagle otworzyły i śliczny chłopaczek z główką w ciemnych lokach stanął na progu.

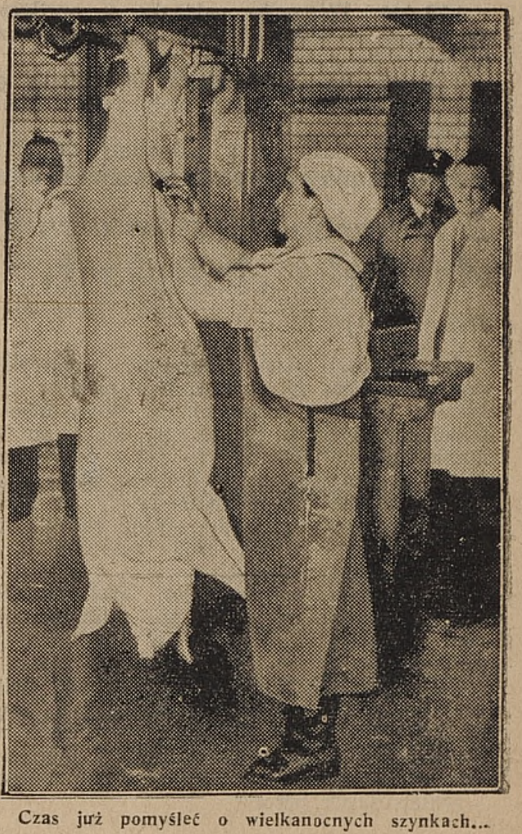
— Tatusiu, kochany ta...

Przerwał nagle, zdumiony widokiem wpatrzonej w niego kobiety.

Miłość matki zapomniała o przyrzeczeniach. Joanna nie mogła zapanować nad sobą dłużej, ramiona jej rozwarły się same, aby objąć Stefanka, który poznał ją instynktownie i pełen miłości, pełen radości, z oczami pełnymi łez, powtarzał: „Mamusia, mamusia, mamusia!

A Adam ocierając łzę połą fartucha, który zachował na sobie, nie zważając na jego śmieszność, wyjąkał zmienionym głosem:

— Dlaczego, Stefanku, nie prosisz mamusi do stołu, zupa i pieczeń na pewno są już dawno gotowe...



Czas już pomyśleć o wielkanocnych szynkach...

— Sknero przebrzydły, tego ci do samej śmierci nie wybaczę, gdybym nawet tysiąca lat dożyła! — krzyknęła mu na powitanie. — Siedzimy tu w tej nędznej dziurze, jak śledzie w beczce i ja biedna, opuszczona kobieta, muszę tu jeszcze słuchać różnych drwin, a to wszystko dla tego, że ci twoje pieniądze milsze są, niż własna żona.

— Jużeś wyszumiała? — spytał Mayer spokojnie.

— Cóż to za gadanie! — wściekała się znów Zuzia. — Wypraszam sobie! Jestem uczciwą kobietą i nie pozwalam, abyś sobie ze mną tak postępował! Mogłam przecież zupełnie inaczej za mąż wyjść, gdybym się nie zagapiła w tobie. Ten piekarz z miasta...

— Przestań, głupia! — przerwał jej Mayer oburzony. — Mówisz, żeś się głupio zagapiła, ale bardzo się mylisz, moja kochana; to ja jestem tym osłem, który niepotrzebnie zagalopował się. Gdybym był wiedział, że masz taką wyszczekaną gębę, to dziesięć koni nie byłoby mnie do ołtarza zaciągnęło. Ale wszystkie kobiety są jednakowe. Przed ślubem są jak gołąbki, które złego słowa wymówić nie umieją, a po ślubie jak prawdziwe sroki, którym dziób od wrzeszczenia nie zamyka się.

— Nie mam dzióba i nie jestem sroką! — broniła się Zuzia.

Chłopak okrętowy, który się tej kłótni z uśmiechem przysłuchiwał, złapał wiadro wody i wylał jednym zamachem na pokład, po czym dopiero krzyknął: baczność!

Przestroga ta była oczywiście bardzo spóźniona, bo Zuzia już przemokła do nitki. Jak furia rzuciła się na majtka i nim się spostrzegł, uderzyła go dwa razy w twarz, mówiąc:

— Ja cię nauczę moresu, ty łajdaku!

— I ja panią! Idę do oficera pokładowego na skargę! — krzyknął chłopak. — Jak się pani mogła odważyć porwać się na mnie. Com pani złego zrobił?

— Zlałeś mnie wodą tak, że leje się ze mnie, jak z koła, który wpadł do Dunaju! — wrzeszczała Zuzia.

— A po co tu stoicie? — piorunował chłopak — pokład nie jest dla pasażerów ze średniego pokładu. Zresztą dawano sygnał, aby wszyscy opuścili pokład, bo go trzeba czyścić. To byłoby piękne, gdyby wszyscy pasażerowie tej klasy zechcieli wchodzić na pokład.

Dwaj majtkowie, którzy się tej scenie przysłuchiwali, pokładali się ze śmiechu i przyznawali koledze swemu słuszność. Zuzię zaś ostrzegli, aby nie chodziła do kapitana na skargę, lecz uparta kobieta nie dała się od tego odwieść. Przepchała się przez gromadkę mężczyzn i stanąwszy przed kapitanem, zaczęła się głośno i płaczliwie żalić.

Kapitan jednak przyjął ją bardzo niełaskawie i powiedział rubasznie, aby w przyszłości z takiemi głupiemi pretensjami nie przychodziła.

— Widzę — rzekła Zuzia blednąc z gniewu — że tu brak sprawiedliwości. Szczęście, że ta podróż nie trwa wiecznie. Postaram się też o to, aby z moich znajomych nikt „Adelajdą“ nie jechał.

— Jeżeli znajomi pani są tak grubiańscy jak pani sama to będzie to dla „Adelajdy“ tylko korzyścią — odparł kapitan flegmatycznie.

— Widocznie pan nie jest przyzwyczajony do obcowania z damami, bo inaczej umiałby pan się wobec nich znaleźć.

— Ta bezczelna osoba odważa się dawać mi nauki i to na moim własnym okręcie — krzyknął kapitan gniewnie. — Radzę pani wynieść się na pokład średni, gdzie jest miejsce pani. Jeżeli pani tego nie uczyni, to każę panią przemocą tam zaprowadzić.

Teraz dopiero poznała Zuzia, że zraziła sobie nie tylko załogę, ale i dowódcę nawet. Byłaby teraz chętnie cofnęła obelżywe słowa, ale już było za późno.

Dostała silnych dreszczy. Przemokłe suknie przylgnęły do jej ciała. Chciała się przebrać, ale nie wiedziała gdzie się jej kufry podziały, a nie mogła się opanować i zapytać o swe pakunki.

Udała się więc, jak niepyszna na średni pokład, złożyła swoje mokre odzienie i wsunęła się do hamaka, służącego za łóżko.

Suknie rozwiesiła tak, aby mogły przeschnąć i sama postanowiła leżeć tak długo, dopóki jej odzienie nie wyschnie zupełnie i będzie je potem mogła bez szkody dla zdrowia włożyć.

Po niejakimś czasie dano sygnał na śniadanie.

Wszystkie kobiety wyszły i wróciły z dużymi parującymi blaszankami, napełnionymi gorącą kawą i dużymi kromkami chleba.

Powstała ogólna cisza, bo wszystko, co tylko żyło, spożywało śniadanie, tylko Zuzia leżała w swoim hamaku zapomniana.

Gdyby wyzywającym odnoszeniem się nie była ściągnęła na siebie ogólnej nienawiści, byłaby jej na pewno któraś z kobiet, z własnej, dobrej woli, śniadanie przyniosła, albo też uczyniła to na jej prośbę.

Zuzia jednak wolała głodzić się i marznąć niż kogo o coś prosić.

Wszystkich tych nieprzyjemności nawarzyła sobie sama a'e zanadto głupią i zaślepioną była, aby to uznać i złożyła całą winę na męża. — Była diabelnie zła na niego.

Drugiego dnia jazdy zerwała się okropna burza. Zuzia dostała morskiej choroby. Wiła się w boleściach, jak robak, trzymała się kurczowo sprzętów, aby nie upaść na podłogę i była pewna, że ostatnia godzina jej wybiła.

Wokoło siebie słyszała westchnienia, jęki, skargi i płacze.

Apatycznie patrzała na małe dzieci, które stękając tuliły się do swych matek i z płaczem prosiły o pomoc i ulgę.

Kilku młodych chłopców okrętowych zajętych było stale zmywaniem zanieczyszczonej podłogi parowca.

Zuzia byłaby chętnie opuściła swoje nieprzyjemne otoczenie, aby się udać na pokład, ale po pierwsze była zanadto osłabioną, aby zmienić miejsce, a po drugie, nie wolno było nikomu podczas burzy być na pokładzie.

Musiała się więc, chcąc nie chcąc, pogodzić z losem i wytrwać wśród płaczącego i stękającego grona swych towarzyszek.

Jeśli jeszcze coś mogło zwiększyć gniew Zuzanny, to była to ta okoliczność, że Mayer czuł się zupełnie zdrowym.

Jego silny organizm nie poddał się chorobie morskiej, a żywe oczy patrzyły wesoło, jak zwykle. Palił sobie spokojnie fajeczkę i miał nadzwyczaj wyborny apetyt.

Tego nie mogła mu Zuzia przebaczyć. Jak on mógł cieszyć się takim zdrowiem i posiadać dobry humor, podczas, gdy ona tak się męczyła? A jak oburzająco obojętnym był na jej cierpienia, ten wstrętny człowiek.



W niemieckiej operze, w Berlinie, wystawiono w ostatnich dniach nowy balet. Przedstawiona scena ukazuje Urszulę Deinert i Kurta Lenz w tańcu meksykańskim.

Gdy mu się z jękiem skarżyła: Mężu, umieram, — odpowiadał jej spokojnie:

— W takim razie musiałyby wszystkie chore kobiety i dzieci także powymierać. Wstydź się, Zuziu, wyprawiać takie komedie. Popatrz na te małe dzieci, które cierpią tak samo, jak ty, i daj im dobry przykład.

Zuzia odwróciła się gniewnie twarzą do ściany i naciągnęła koc na głowę, aby jego słów nie słyszeć.

Mayer oddalił się obrażony, pomimo, że nawet nie wiedział, ile słusznych powodów ma do tego.

Po kilku dniach burza się uspokoiła, ale z powodu niej podróż bardzo opóźniła się.

Okręt zatrzymał się w porcie angielskim, aby zaopatrzyć się w węgiel, ale żadnemu z pasażerów nie było wolno wychodzić na ląd.

To było znów przyczyną zmartwień dla Zuzi, bo niweczyło jej plany. Chciała ona bowiem uratować się w Anglii ucieczką, schronić się w jednym z nadbrzeżnych miast i stamtąd prosić barona Sturmfedera, aby jej przysłał pieniędzy na powrót do Niemiec.

— Co za szkoda, że jestem mężatką i że baron nie może się ze mną ożenić — myślała ze smutkiem — on uczyniłby to z chęcią.

Śmieszne były złudzenia, którym oddawała się nieraz Zuzia.

Baron Sturmfeder byłby wcale nie odpowiedział na jej list, byłby świstek ten jak najprędzej zniszczył, wyśmiał styl i brzydkie, wcale niewyrobione pismo.

Uparta kobieta była teraz z własnej winy w bardzo przykrym położeniu. Żadna z kobiet z nią nie mówiła, dzieci unikały ją, a cała załoga okrętowa obchodziła się z nią po grubiańsku. Co zaś do pasażerów męskich, Zuzia czuła się zbyt osłabioną i znękaną, aby móc ich kokietować, albo wystroić się w swoje eleganckie suknie.

Tak więc siedziała całymi dniami w ponurym milczeniu i zamyśleniu, a gdy morze było spokojne, wychodziła na pokład i wpatrywała się z podziwem w ogromną, bezgraniczną powierzchnię wód, rozwijającą się przed jej oczyma, jak olbrzymie zwierciadło.

Świeże, czyste powietrze ożywiło ją trochę i zabarwiło jej blade policzki.

Z radością patrzyła na część pokładu przeznaczonego dla pasażerów I. klasy.

— Tym się dobrze powodzi — myślała z zazdrością — co za stroje! A jak się śmieją. Głupcy, czego się tak cieszą?

Myśl, że są na świecie osoby szczęśliwsze od niej, pobudziła ją do płaczu i gniewu.

— Gdybym nie była tak dziecinnie głupią, aby tak bez namysłu za mąż wychodzić, mogłabym teraz także być panią baronową — mruknęła. — Jakże byłam okropnie zaślepioną!

Miła kobietka zapomniała zupełnie, jak szczęśliwą się czuła, gdy Mayer starał się o nią i jak się go z niedowierzaniem pytała, czy na serio myśli. Mały domek woźnicy wydawał się jej wtedy rajem.

Ale ludzie tak są niewdzięczni, że małe dolegliwości zacierają u nich wspomnienie wielkich uciech i dobrodziejstw.

— Gdybym tylko wiedziała, gdzie on pieniądze schował — mruknęła Zuzanna — zabrałabym mu je, skoro byśmy tylko do Ameryki przybyli i uciekłabym od niego. Dobrzeby mu było, temu łotrowi.

ROZDZIAŁ LXXXV.

Narada familijna

Powrót Teobalda z Paryża do domu rodzicielskiego zmienił cały tryb życia mieszkańców apteki pod „Złotym aniołem".

Dotychczas żyli oni ściśle według zegara. Z uderzeniem pierwszej godziny siadali do stołu; zaraz po obiedzie pili kawę, a o godzinie w pół do ósmej jadali kolację.

Ale Teobald, który nigdy o oznaczonej godzinie do domu nie powracał obalił cały porządek domowy.

Wstawał dopiero o dziesiątej i schodził jeszcze później do jadalni na śniadanie, a pani Hai zrozpaczona była jego niepunktualnością.

Zaraz nazajutrz po swym przyjeździe dotknął matkę do żywego, pytając ją poważnie:

— Czy mama zapomniała wydać Teresie kawę? Bo to, co dostałem, to czysta juszka szpitalna.

Gdyby ktoś inny odważył się zrobić jej taką uwagę, byłaby mu oczy wydrapała, ale że to był jej syn, opanowała się więc i rzekła spokojnie:

— Mój kochany Teobaldzie, kawa nie zyskuje na aromacie, gdy musi stać przez pięć godzin na ogniu i grzać się.

— W takim razie poproszę o świeżą! — odrzekł Teobald chłodno. — Ale, gdzie jest mała Ida? — dodał po chwili.

— Czego chcesz od niej? — zapytała pani Hai, marszcząc brwi.

— Chcę ją zobaczyć, tę laleczkę — zapewniał ją syn — czy może nie pozwalasz?

— Dlaczego ci tak spieszno? — spytała aptekarzowa gniewnie.

— Chcę, aby mi pozowała do obrazu — zaśmiał się Teobald.

— Jako co? — spytała pani Hai uszczypliwie.

— Chcę, aby mi służyła jako model do kopciuszka — zapewniał ją synalek — ona się świetnie do tego nadaje.

— Tego jeszcze brak, abyś jej głowę zawrócił swoimi głupstwami — oświadczyła aptekarzowa. — Jeżeli chcesz kogoś malować, to jest dość młodych dziewcząt w naszej rodzinie, a każda z nich chętnie posłuży ci za model. Na przykład Mimi.

— Mów mi o wszystkich okropnościach piekielnych, tylko nie wspominaj o Mimi — przerwał jej Teobald przerażony. — W ogóle, mateczko, jeśli chcesz mnie utrzymać w dobrym humorze, to nie przypominaj mi kochanej rodziny. Luby wujaszek, cuchnący śledziami, swego sklepu i słodka cioteczka z trafiki, niech mi się na oczy nie pokazują.

— To przecież uczciwi ludzie — rzekła matka obrażona.

— Tak jest, o ile wiem, nikt z nich nie siedział w kryminale — ziewnął Teobald — no, ale gdzież jest moje śniadanie?

— Stoi przed tobą — odpowiedziała mama Hai nieśmiało.

— Tak? Ja poproszę jednak o inne — rzekł syn stanowczo. — Ta bułka chyba nie widziała masła, tak jest sucha. Ja przyzwyczajony jestem do śniadania, składającego się z jaj, mięsa i dobrej kawy, więc jeżeli w domu tego nie dostanę, będę musiał pójść do restauracji.

— Jak możesz tak mówić? — powiedziała mitygująco, tak zwykle ostra, pani Hai — rozkaż tylko, a będziesz miał wszystko, czego pragniesz, za 10 minut będzie gotowe.

Pobiegła niezwłocznie do kuchni, aby przynieść coś dla niego.

Wkrótce wróciła, niosąc na tacy sute śniadanie.

Postawiła wszystko na stole, wlała kawę do filiżanki i podała swymu ulubieńcowi, który tym razem raczył wszystko łaskawie przyjąć.

Po śniadaniu odsunął Teobald filiżankę na bok i zapytał cicho:

— Mamo, jak to właściwie stało się, że „stary" przyjął Idę? Przypominam sobie przecież te czasy, kiedy ojciec był jeszcze prowizorem w aptece pod „Złotym aniołem", a ty wynajmowałaś umeblowane pokoje. Przypominam sobie też, jak we śnie, matkę Idy, ale nic więcej nie wiem.

Pani Hai nie podobały się te pytania.

— Nie szperaj w starych historiach — odrzekła, poruszając się niespokojnie w krześle. — Matka Idy mieszkała u nas, a że wcześnie zmarła, zlitowaliśmy się nad Idą i przygarnęliśmy ją do siebie.

W każdym razie pobłogosławił Bóg ten dobry uczynek — odpowiedział Teobald — bo nasze stosunki polepszyły się właśnie w tym samym czasie. „Stary" kupił bowiem wtedy aptekę, w której dotąd był tylko prowizorem.

W słowach jego było tyle ostrego szyderstwa, że matka zbladła i przerażonym wzrokiem spojrzała na swego pupilka.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała go trwożliwie.

— Nie rób tylko żadnych scen — ostrzegał synalek — i pamiętaj, że w tym dużym domu i ściany uszy mają. My zaś mamy wiele powodów, aby nie pozwolić ludziom wglądać w nasze sprawy.

Zresztą chcę się ożenić z Idą i dlatego pragnę wiedzieć o wszystkim, co się tyczy jej przeszłości. Skąd się jej matka wzięła we Wiedniu?

— Radca handlowy, Brüllmeier, chciał przyjąć Francuzkę dla swoich córeczek — rzekła pani Hai ponuro, — zwrócił się więc do jednego ze swoich paryskich znajomych i prosił go, aby mu wyszukał jakąś uczciwą młodą osobę i przysłał ją do Wiednia. Znajomy ten przysłał radcy właśnie matkę Idy.

— Dalej, dalej — nalegał Teobald niecierpliwie, gdy matka zamilkła — a dlaczego matka Idy opuściła dom Brüllmeierów?

— Panna Leokadia była bardzo piękną osobą — opowiadała pani Hai nie-

chętnie — duża, okazała, zupełnie inna od swoich małych, zgrabnych rodaczek. Podobała się więc panu Brüllmeierowi i prowizorowi Steinertowi, nic też dziwnego, że to gniewało panią Brüllmeierową i że ją wyrzuciła. Steinert ujął się jednak za swą uwielbianą tak żywo, że przyszło do bardzo ostrych słów między nim, a panią Brüllmeier. Koniec końców Steinert przyprowadził ją do naszego mieszkania, jako swoją oficjalną narzeczoną.

— A pan Brüllmeier pewnie wziął mu to za złe? — szydził Teobald.

— Oczywiście — rzekła pani Hai, kiwając głową. — Brüllmeier bowiem był bardzo zajęty piękną Francuzką. Wymówił on swemu prowizorowi posadę, ten jednak poszukał sobie inną i ożenił się ze swoją ukochaną. Po sześcioletnim pożyciu umarł i zostawił wdowę z pięcioletnim dzieckiem, w największej biedzie.

Aby sprawić mu pogrzeb, musiała pani Steinert sprzedać swoje meble. Była zupełnie bezradną. W jej biedzie okazaliśmy jej dużo serca. Radziliśmy jej w różnych sprawach i dopomagaliśmy materialnie...

— Nie ze szkodą oczywiście dla siebie! — wtrącił Teobald złośliwie.

Pani Hai, udając, że nie słyszała tej uwagi, opowiadała dalej spokojnie, uważając na każde słowo:

— Proponowaliśmy biednej, opuszczonej kobiecie, że jej ustąpimy jeden pokoik, który też przyjęła z wdzięcznością.

Zaczęła znowu udzielać lekcyj języka francuskiego i miała przy tym bardzo wiele zajęcia. Muszę jej przyznać, że starała się zawsze troskliwie o dziecko. Dla siebie nie zostawiała nawet tyle czasu, aby zjeść spokojnie posiłek. Zapracowywała się formalnie na śmierć. Gdy ona umarła, przygarnęli Idę.

— Wraz z jej majątkiem — dodał Teobald spokojnie, ale stanowczo.

Pani aptekarzowa drgnęła, ale po chwili opanowała się i wzruszywszy ramionami, rzekła pogardliwie:

— Schowaj sobie swoje głupie dowcipy, Teobaldzie! Gdyby pani Seinertowa nie była się tak wysilała, byłaby do dzisiejszego dnia żyła. Ale wielka bieda zmuszała ją do tak wyczerpującej pracy i właśnie to nadmierne wytężenie spowodowało jej śmierć.

— Mama to bardzo pięknie wytłumaczyła, — szepnął Teobald cicho — tylko, że to, niestety, nie jest prawdą.

— Mogę ci wyliczyć z tuzin osób, którym pani Steinert dawała lekcje — zawołała oburzona.

— Cicho, tylko cicho — uspakajał Teobald matkę. — Nie wątpię ani na chwilę, że ta biedna osoba zapracowała się na śmierć. Powiedziałem tylko, że ukrywano jej prawdziwe stosunki majątkowe.

— Tobie to się może wydawać, że Steinert pozostawił miliony? naturalnie! — ale jesteś w wielkim błędzie! Ojciec jego był biedny, jak mysz kościelna, a Steinert też nic pozostawił nic, prócz długów.

— I prócz losu loteryjnego! — syknął Teobald.

Twarz pani Hai zieleniała i żółkła. Przenikliwym wzrokiem popatrzyła na syna.

— Co, ty wiesz o tym? — zapytała z trudnością.

Teobald spostrzegł z zadowoleniem, jakie wrażenie słowa jego wywarły na matce.

— Byłem wprawdzie jeszcze głupim chłopcem, najwyżej dwunastoletnim — rzekł, cedząc sylaby — ale ta scena wbiła się niezatarcie w mą pamięć. Pamiętam, jak dzisiaj, niedługo po śmierci Steinerta, ojcie przyszedł późno do domu, a gdyś go łajała za to, że tak długo kazał na siebie czekać, rzekł:

— Uspokój się Selmo, przyniosłem ci coś, i mówiąc to, położył jakąś kartkę na stół. Łajanie twoje zbudziło mnie. Byłem jednak dość mądrym, aby się nie zdradzić ruchem, że nie śpię i w ten sposób stałem się świadkiem całej waszej rozmowy.

Los — krzyknęłaś — i do tego jeszcze cały los! Co za głupota z twej strony wyrzucać tyle pieniędzy niepotrzebnie!

Uspokój się Selmo! i mów cicho, aby się chłopak nie zbudził — przestrzegał cię ojciec — nie masz powodu gniewać się na mnie. Nie wydałem pieniędzy na ten los, lecz znalazłem go między papierami Steinerta i zabrałem ze sobą.

— A jak wygra? — spytałaś trwożnie.

— Tylko spokojnie — rzekł ojciec — mam i na to radę. Wiesz przecież jak świetnie naśladuję wszelkie charaktery pisma. Wystawię więc zaraz dokument, w którym mi Steinert poświadcza, że los ten od niego kupiłem.

Aptekarzowa zakryła twarz rękoma i jęknęła.

— Teobaldzie, Teobaldzie! — błagała — przecież nas nie zdradzisz? Nie zechcesz przecież swoich rodziców wpędzić do kryminału, bo to i dla ciebie byłoby hańbą i nieszczęściem!

— Nie obawiaj się tego, mateczko — uspakajał ją synalek — nie zdradzę was. Przypomniałem ci tylko całą tą sprawę, aby ci dowieść, że to właśnie Ida jest właścicielką tej apteki.

— Teobaldzie, nie unieszczęśliwiaj nas — błagała pani Hai.

— O tym nie myślę — uspakajał ją syn — musicie mi tylko pomóc w wykonaniu moich planów. Więcej nic od was nie żądam.

— A jakiego rodzaju są te plany? — spytała go drżącym głosem.

— Chcę się z Idą ożenić, a gdy ją w ten sposób do siebie przykuję, pokieruję sprawą tak, aby ją świat miał za córkę zaginionej hrabiny Wildenstein.

— To jest niemożliwe! — zawołała aptekarzowa.

— A czy Leokadia, matka Idy, nie wynajmowała u mamy mieszkania równocześnie z tamtą hrabiną? — pytał badawczo.

— Tak jest i Leokadia pielęgnowała swoją rodaczkę tygodniami, gdy ta była chora i wydawała ostatnie pieniądze, aby jej pomóc. Ale, że sama bardzo mało miała, a narzeczonego o pieniądze prosić nie chciała, więc złożyło się tak, że mi ta obca dama została coś dłużną. Gdy więc przyszła o tyle do siebie, że mogła jechać dalej, aby mieć jakiś fant, zatrzymałam jej paszport.

— Bo wszystko inne już u niej przedtem wydusiłaś — wtrącił Teobald.

— Musiałam przecież dbać o to, aby nie ponieść żadnych strat pieniężnych — broniła się pani Hai obrażona — dla kogoż wreszcie męczyłam się i dla kogo oszczędzałam, jeżeli nie dla ciebie? I ty właśnie robisz mi teraz wyrzuty? Czy nie wiesz, że mnie tym krzywdzisz?

— Paszport jest dla nas nieocenionej wartości — szepnął Teobald.

— Teobaldzie, Teobaldzie! — przestrzegała go matka trwożliwie — porzuć te szalone plany i bądź ostrożnym! Akuszerka, która była przy pani Steinert, żyje jeszcze. Żyje też oprócz niej wiele osób, które pamiętają dobrze tak Steinerta jak i jego żonę, i które byłyby przeciw nam, gdybyśmy chcieli uznać Idę za córkę hrabiny Wildenstein. Dziwionoby się i słusznie, zresztą dlaczegośmy ją wychowali pod nazwiskiem Steinert. Pytanoby się, dlaczegośmy się nie upomnieli wcześniej o jej prawa. Słowem, nie uwierzonoby nam i zdemaskowano nas prędko.

— Mama mię nie rozumie — rzekł Teobald — nie chcę tego wyjawić ani przed sądem, ani przed światem. Chcę tylko, aby markiz de Lorme w to uwierzył. Wiele okoliczności nam sprzyja, aby go o tym przekonać. Markiz nie mówi prawie wcale po niemiecku, a osoby, któreby go mogły poinformować o Idzie, nie znają na szczęście języka francuskiego.

— Ależ Ida mówi po francusku! — sprzeciwiała się pani Hai — a to jest zasługą ojczulka twego, bo gdyby nie nalegał, aby chodziła do szkoły wydziałowej, byłaby już zapomniała „parlowania". — Utrzymywał on zawsze, że ludzie gorszyliby się, gdyby bogaty Hai, zapisał swoją wychowankę tylko do szkoły ludowej. O, i teraz mamy skutki tego uporu! Ida wszystko może wypaplać markizowi.

— Sądzę, że markiz jeszcze nie odzyskał przytomności — utrzymywał synalek.

— Owszem, dziś odzyskał pełną przytomność — zaprzeczyła matka.

— Pozbądź go się więc jak najprędzej — radził Teobald.

Aptekarzowa zagryzła gniewnie wargi.

— Nie trzeba go było wcale brać do domu, ale moje dobre serce znowu się odezwało! — odpowiedziała z patosem.

— Nie jest mi to na rękę, że Ida jest ciągle sam na sam z tym młodym człowiekiem — zauważył Teobald gniewnie — bo markiz może w ten sposób bardzo łatwo zjednać sobie jej miłość. Poślij Annę albo Terenię do niego. Tylko przy wielkiej rozwadze możemy wygrać tę ryzykowną grę. Acha, a ile padło wtedy na ten los? — zapytał nagle i niespokojnie.

— O, tego nie było wiele! — zapewniała pani Hai.

Teobald roześmiał się głośno.

— I ojciec byłby jechał aż do stolicy, aby tę wygraną odebrać, gdyby ona nie była wielką! — zawołał szyderczo. — Nie, mateczko, widzę już, że muszę po-

móc tu twojej pamięci. Była to główna wygrana, i mała Ida tyle ma złota, ile sama waży.

Proszę usilnie o to, aby dostała ona stosowniejszą garderobę, a przewszystkiem zgrabne i modne buciki. Przecież ona teraz nosi formalnie czółna na nogach! A czy ma chociaż jakiś porządny kapelusz?

— Tak jest — rzekła pani Hai.

— Pokaż mi go! — zawołał syn.

Po pewnym wahaniu wyjęła pani Hai znoszony, brzydki kapelusz letni i pokazała go Teobaldowi.

— I tę pokrywkę nosiła Ida? — pytał Teobald pogardliwie! — Ale mamusia ma gust!

Mówiąc to, wybiegł z kapeluszem w ręku.

Pani Hai podążyła za nim i dopędziła go w chwili, gdy wrzucał kapelusz do płonącego ognia.

— Tak! — zawołał zadowolony — teraz jest dobrze schowany. Po obiedzie kupimy naszej małej nowy kapelusz!

Pani Hai załamywała ręce w niemej rozpaczy. Według niej, kapelusz ten mógł Idzie starczyć jeszcze na dziesięć lat.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Zrządzenie Boże

Ostry, przenikliwy zapach gazu solnego obudził Hortensję z ciężkiego omdlenia.

Z nieokreślonym jakimś uczuciem obawy otworzyła oczy, lecz wnet uspokoiła się, gdy zobaczyła krzątającą się obok niej postać kobiecą.

Była to starsza kobieta o ciemnej, ostrej, ale niebrzydkiej twarzy, na której pewna dobrotliwość dziwnie mięszała się z chytrością i przebiegłością.

Ubrana była w suty węgierski strój narodowy.

— Na miłość Boską, gdzie jestem? — zapytała Hortensja drżącym głosem. — Kto mię tu sprowadził i dlaczego?

— Uspokój się, gołąbeczko — odrzekła kobieta dziwnie grubym głosem — nie obawiaj się, nic złego ci się nie stanie, bo Ilka jest przy tobie.

Dla Hortensji była to słaba pociecha, że była pod dozorem kobiet, jednak uprzejmość Ilki uspokoiła ją trochę.

— Moja biała lilijka jest jeszcze osłabiona i zmęczona — pieściła ją Węgierka. — Przyniosę jej szklankę wina, to ją trochę wzmocni.

To rzekłszy, opuściła pokój.

Ledwo wyszła, Hortensja wstała i chciała uciekać. Oglądała się nieśmiało po pokoju, a otaczający ją przepych jeszcze bardziej ją onieśmielił.

Pokój był średniej wielkości, ale bardziej był podobny do przybytku jakiejś rusałki albo królowej z bajki, niż do mieszkania zwykłych śmiertelników.

Ściany pokryte były ciężkim jedwabnym brokatem śnieżnej białości.

Okna i drzwi ledwo widoczne były z pod ciężkich portjer z tej samej materii. Kilka białych foteli, kilka srebrnych stolików ze wspaniałymi kwiatami i olbrzymi dywan zeszyty ze skór białego niedźwiedzia, tworzyły efektowną całość.

Hortensję przechodziły zimne dreszcze. Przypomniała sobie bajki słyszane w dzieciństwie o czarach i zdawało jej się, że dostała się do jednego z tych zaczarowanych zamków.

Drżącym krokiem zbliżyła się do okna i bardziej jeszcze drżącą ręką odchyliła ciężką, jedwabną portierę, otworzyła jedno skrzydło okna, ale cofnęła się zaraz z okrzykiem rozczarowania, gdyż okno było zakratowane.

Bojaźliwie zwróciła się teraz do drzwi, przez które wyszła Ilka. Odsunąwszy portierę, weszła do sypialni, urządzonej w tym samym stylu i z tym samym oryginalnym przypychem, co pierwszy pokój, w którym przyszła do przytomności.

Hortensja nie zwracała uwagi na poszczególne drobnostki. Spróbowała ona otworzyć drugie drzwi i weszła do pokoju, który skromnością swą jaskrawo odbijał od przepychu dwóch poprzednich.

Obielone wapnem ściany raziły swą nagością. Niskie łóżko okryte było jasno-czerwoną kapą. Stół z surowego drzewa i kilka krzeseł tworzyły całe urządzenie tej biednej izdebki.

Hortensja chciała się z tego pokoju przedostać dalej, ale w tej chwili drzwi się otworzyły i weszła Ilka, niosąc srebrną tacę, pełną łakoci i orzeźwiających trunków.

Węgierka nie okazała na jej widok ani zdziwienia, ani też niechęci, rzekła tylko tonem bardzo łagodnej perswazji:

— Chodź, moja gołąbeczko, tu nie jest miejsce dla ciebie.

Mechanicznie poszła Hortensja za nią do pierwszego pokoju i usiadła jakby złamana na pierwszym lepszym fotelu.

Ilka stanęła obok niej i starała się ją pocieszyć. Ze współczuciem podała jej trochę wina, ale Hortensja odrzuciła wszystko niemym giestem.

Z dobrotliwą troskliwością krzątała się Ilka około pięknej branki. Głaskała bujne jej loki i poprawiła jej ubranie, ale Hortensja nie zwracała nawet na to uwagi.

Siedziała jakby zdrętwiała i nieprzytomna.

Nagle zaświeciła jej jakaś myśl i wiedziona nią zerwała się szybko z kanapy.

Impulsywnie zdjęła Hortensja złotą broszkę z kołnierza, ściągnęła bransolety z rąk, złote kolczyki z uszu, zdjęła zegarek ze złotym łańcuszkiem, wyciągnęła jeszcze portmonetkę, napełnioną złotem, z kieszeni i oddała to wszystko Węgierce, która obrzuciła te klejnoty pożądliwym wzrokiem.

— Weź to wszystko — błagała ją — wszystko to będzie twoje, jeżeli mi ułatwisz ucieczkę.

Ilka zgarnęła wszystkie kosztowności zachłannym ruchem ręki i szczery zachwyt zabłysnął w jej czarnych oczach, lecz gdy usłyszała warunki, które miała wykonać za te dary, twarz jej posmutniała.

Z nieopisanym żalem oddała Hortensji portmonetkę, klejnoty i rzekła:

— Nie wolno mi ułatwić ucieczki pani, świadczę się Bogiem, że mi nie wolno! Byłoby to moją zgubą, może nawet moją śmiercią. Ale gdyby mi pani te piękne rzeczy darowała, to może Ilka mogłaby się pani w inny sposób odwdzięczyć.

Mówiąc to, patrzała na nią błagalnie, a gdy młoda kobieta bezmyślnie prawie skinęła głową, tamta złapała chciwie wszystkie te kosztowności i schowała je do kieszeni.

Spoglądała jeszcze pożądliwym okiem na grubą obrączkę ślubną, którą Hortensja miała na palcu, ale nie miała odwagi wyjawić swego życzenia.

Hortensja jednak nie zważała już na swoją towarzyszkę, lecz pogrążona w ponurej zadumie, siedziała z załamanymi rękoma.

Nagle zwróciła się znów do Ilki i zaczęła ją błagać rozdzierającym serce głosem:

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

uł. W. M. Łysinin

Nie	ten	poch	słu	jest
gi	cha	ten	rą	wał
lecz	nie	ny	skrom	kto
z	na	kto	słu	ko
s rom	cha	po	i	ny

Ruchem konika szachowego odczytać treść.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA

uł. W. Bultrowicz, Gniezno

Z podanych sylab ułożyć 12 wyrazów 4-literowych o niżej podanym znaczeniu.

Pierwsze litery dadzą rozwiązanie.

Sylaby: a, czad, ce, da, dam, dać, ha, ją, ją, jo, la, ma, na, zan, ruch, u, u, un, więc, zraz.

Znaczenie wyrazów:

1) gaz węglowy, 2) rodzaj pieczeni, 3) zawarcie stosunku między dwoma państwami, 4) a zatem — inaczej, 5) imię męskie, 6) znoszą ptaki, 7) pani, albo figura w szachach, 8) poruszanie, bieganie: 9) planeta, 10) wartość wyznaczona na towarze, 11) sala do ćwiczeń, 12) naśladować.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 19 marca, br.

Rozwiązanie zadań z nr. 8 „Moich Powieści": Logogryf: 1) KoZak. 2) TaBor. 3) WiLla. 4) ŚlIwa, 5) WóZek. 6) PtAki. 7) NiSza. 8) EkIpa. 9) MiĘso. 10) PaWeł 11) ŚwIta. 12) PłOwy. 13) KaSak. 14) KaNał. 15) StAwy. Całość: „Zbliża się wiosna". Szarada: Konwalia.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Kazimiera Litczanka — Bobowo, „Dziewczę z dalekiej Ojczyzny". Julian Kaczmar — Gdynia, Franciszek Piotrowski — Kraków, Melania Zawadzka — Ostrów Łomżyński, Wojciech Keller — Poznań, Krystyna Juszczanka — Wadowice, Stanisław Pierkowski — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Krystynie Juszczance z Wadowic i Wojciechowi Kellerowi z Poznania.

JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE ROZPOCZNIEMY DRUKOWAĆ NOWĄ NIEZWYKLE INTERESUJĄCĄ, POWIEŚĆ !!!

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

9) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

Twarz Ewy sposępniała.

— Nie, nie rozumiem, co pani chce przez to powiedzieć — wyjąkała przerażona.

Pani Krauze bystrym spojrzeniem objęła łagodną smutną twarz dziewczyny. Dostatecznie znała się na ludziach, by w rysach tych wyczytać czystość i niewinność.

— W takim razie nie będę już o tym mówić. Ale dobrze się stało, że pani nie wyszła z ciotką dziś wieczór, a jeśli pani nie bardzo zależy na zabawie, to proszę posłuchać starej doświadczonej kobiety i wieczór spędzać w domu. Ja dobrze znam Berlin i wiem, co mówię. Ale teraz już nie będę nudzić, skoro pani zmęczona. Dobranoc.

— Dobranoc i bardzo pani dziękuję za ostrzeżenie — rzekła Ewa, smutnymi oczyma odprowadzając wychodzącą.

Pani Krauze jakby odgadując, co dzieje się w duszy Ewy, zbliżyła się do niej i swą spracowaną rękę położyła na białej wypielęgnowanej ręce dziewczyny.

— Ślepy by chyba nie widział, że nie przyjechała tu pani dla przyjemności. Ale nie trzeba się tak zadręczać, nie, nie trzeba. A gdyby pani potrzebowała rady, bo widać przecie, że pani nie zna życia, to proszę się zwrócić do starej Krauze. We dwie prędzej coś uradzimy — rzekła serdecznie.

Powiedziała to wszystko tonem takiej życzliwości, że Ewie łzy napłynęły do oczu. W niemym wzruszeniu uścisnęła szorstką rękę gospodyni.

* *
*

Mimo znużenia, Ewa nie spała jeszcze, gdy matka o drugiej po północy wróciła do domu. Udawała jednak, że śpi, pragnąc uniknąć rozmowy. Szarlotta rozebrała się, zapaliła papierosa i ze świecą w ręku stanęła nad śpiącą.

Badawczym spojrzeniem przyglądała się córce, lecz w oczach jej nie było ani śladu uczucia macierzyńskiego, a tylko chłodne wyrachowanie. Podniosła jeden z długich warkoczy, opadających niemal ku ziemi uważnie, przyjrzała się w świetle złocisto - kasztanowemu kolorowi włosów i potem dopiero opuściła go z powrotem.

Ewa oddychała ciężko, leżąc tak z przymkniętymi oczyma. Dym papierosa, silne perfumy, którymi przesycone były suknie matki, a przede wszystkim świadomość, że oto ogląda ją chłodnym badawczym wzrokiem kupca oceniającego towar, wszystko to jak ciężka zmora przytłaczało jej pierś.

Odetchnęła z ulgą, gdy światło wreszcie zagasło, a matka położyła się do łóżka.

Wczesnym rankiem ubrała się cicho, by nie przebudzić śpiącej i na palcach wysunęła się do pani Krauze. Stara siedziała w kuchni, popijając z dużej filiżanki kawę.

Na pozdrowienie Ewy odpowiedziała tonem serdecznym.

— Ale to ranny ptaszek! Nikt z moich lokatorów ani lokatorek nie wstaje o tej godzinie. Pewnie pani chce kawy?

Ewa przystąpiła bliżej.

— Pani Krauze, wczoraj wieczór była pani taka dobra i ofiarowała mi swą pomoc w razie potrzeby. Korzystam z tego i już dziś chcę panią prosić o radę.

— Bardzo mnie cieszy, że pani ma do mnie zaufanie. O co chodzi?

Fartuszkiem odkurzyła drugie krzesło i podsunęła go Ewie. Dziewczyna usiadła, by jej nie obrazić.

— Widzi pani, ja przyjechałam do Berlina, by znaleźć jakąś posadę... towarzyszki lub zarządczyni... Wszystko mi jedno, abym się tylko dostała do dobrego domu, ponieważ nie mam żadnych bliższych krewnych. Czy nie mogłaby mi pani poradzić, w której gazecie umieścić ogłoszenie, żeby było skuteczne?

— Owszem, mogę pani poradzić, ale proszę sobie nie wyobrażać, że to taka łatwa rzecz dostać w Berlinie zajęcie. Chyba, że pani ma bardzo dobre świadectwa i polecenia.

— Nie mam żadnych, bo dotąd przebywałam w domu dalekiego krewnego, któremu prowadziłam gospodarstwo.

— Hm, żadnych świadectw? To będzie ciężko. A nie mogłaby pani dostać świadectw od tego krewnego?

— Owszem, ale to wymaga pewnego czasu, a ja chciałabym jak najprędzej dostać posadę, by nie być ciężarem mojej ciotki.

— Ha, spróbować nie zawadzi. Proszę pani, tu jest gazeta poranna jednego z moich lokatorów. Proszę przejrzeć dział ogłoszeń — może właśnie znajdzie pani coś odpowiedniego. Zaraz też pani podam kawę.

Ewa wróciła do pokoju, uważnie przejrzała anonse i wypisała sobie kilka adresów. Szybko połknęła kilka łyków kawy, zapytała jeszcze gospodynię, gdzie najbliższa stacja tramwaju i skierowała się ku drzwiom. Gospodyni objaśniła ją, powtarzając z naciskiem, by o informacje zwracała się tylko do policjantów.

Wychodząc, Ewa poprosiła ją, by powiedziała ciotce, że wróci koło południa.

Szarlotta Grabow wstała po jedenastej i zdziwiła się, że Ewa wyszła już z domu. Gospodyni wyjaśniła jej, że bratanica pragnie co rychlej znaleźć sobie zajęcie.

— Podobny idiotyzm! Wyobraża sobie, że bez świadectw i bez polecenia znajdzie miejsce. Zanadto jest piękna, by ją jaka mężatka chciała wziąć do swego domu. Takiej głupiej nie znajdzie. I po co jej zresztą posada? Wcale się do niej nie nadaje — mówiła zirytowana.

— Do teatru jeszcze mniej się nadaje — burkliwie wtrąciła gospodyni.

— Kto mówi o teatrze? Niech sobie pani wyobrazi, co to za szalona dziewczyna. Milioner, człowiek na wysokim stanowisku, oświadczył się o nią, a ona uciekła z tego powodu i chce się zmarnować jako bona czy coś podobnego. Czy to nie szaleństwo?

Gospodyni klasnęła w dłonie.

— Taka to historia! No, teraz już rozumiem, dlaczego jest taka smutna. Od razu zmiarkowałam, że to nie taka zwykła sobie lokatorka. Biedactwo... Skoro uciekła od dostatków to musiała mieć powód. Już ona wie dobrze, czego chce. I mogę pani powiedzieć, że nic pani u niej nie wskóra... i nie przerobi jej pani na swoje kopyto...

— Proszę zachować dla siebie takie mądrości! I tak już jestem dość zirytowana. Podobny pomysł! Wczesnym rankiem biegać za posadą. Jak gdyby tu na nią czekano!... A może i lepiej się stało. — Prędko zmiarkuje, że nie tak to łatwo przebijać się przez życie. To jej trochę przytrze rożków.

Stara spojrzała na nią spod oka.

— Nie powinna jej pani przynajmniej zabierać pieniędzy. To nieładnie.

Szarlotta dumnie odwróciła głowę i znów przybrała ton damy salonowej.

— Proszę się nie mieszać do nieswoich spraw. Panią to nie obchodzi.

— Całkiem słusznie. Powinnabym nawet być rada, że odebrałam swoje pieniądze, którychbym już może nigdy nie była widziała. Ale serce mnie

boli, gdy patrzę na to niewinne stworzenie i myślę, że pani ją może zechce zaznajomić z rozmaitymi aktorkami i tymi panami, co się to lubią bawić...

— Mówi pani głupstwa! Moja bratanica może przy swojej piękności wyjść świetnie za mąż...

— Tra-la-la! — lekceważąco przerwała pani Krauze. — Może to pani opowiadać komu innemu. Ci panowie, z którymi pani obcuje, chcą się bawić, ale nie żenić. Dlatego mi żal tego niedoświadczonego dziecka.

— Pani Krauze! Raz na zawsze wypraszam sobie ten ton! A swoje współczucie proszę zachować dla kogo innego, bo mojej bratanicy nie grozi nic złego. Uważam zresztą, że nie zawsze pani ma takie miękkie serce.

— O, jeśli pani chce powiedzieć, że jestem czasem szorstka, gdy pani zalega z czynszem, to pani zaraz wytłumaczę. Jeśli kto nie ma pieniędzy, to nie musi każdy wieczór spędzać w restauracji i pić sekt i opychać się specjałami. Ja ciężko pracuję, ale wolę żywić się kawą i suchą bułką, i żyć uczciwie. Tak, teraz się pani dowiedziała, co dawno już chciałam powiedzieć, bo mnie pani nie zamydli oczu i wiem, co myśleć o tym wszystkim.

Wyszła z pokoju, nie zwracając uwagi na lekceważący gest Szarlotty.

— Bezczelna baba! — krzyknęła za nią aktorka. — Szybko się jednak uspokoiła, a myśli jej pobiegły innym torem. Tak to jest, gdy człowiek jest zmuszony zadawać się z podobnymi figurami, by się nie znaleźć na bruku. Och, te ciągłe kłopoty pieniężne! I pomyśleć, że mogłam zostać teściową bogacza, który raz na zawsze wyrwałby mnie z tych poniżających stosunków. Ta Ewa nie zdaje sobie sprawy, jak strasznie mnie skrzywdziła, odrzucając Wendenburga! O Boże, Boże, kiedy się nareszcie skończy mój pech! A w dodatku ten okropny niepokój, odkąd policja „nakryła" tę jaskinię gry. Tego jeszcze brakowało, by i mnie wmieszano w tę całą aferę! Tak długo się wahałam, mimo całej pokusy, ale ostatecznie trudno umrzeć z głodu... Oby się tylko skończyło na strachu!

Biegała niespokojnie po pokoju, szarpana najprzykrzejszymi myślami. Dawno już przestała marzyć o świetnej karierze scenicznej, a także co do swej urody nie mogła się łudzić. Goniła resztkami, a nie mogąc w ostatnich miesiącach dostać żadnego engagement, została ajentką tajnej jaskini gry. Sprowadzała do niej rozmaitych hulaków z koła swych znajomych i pobierała od przedsiębiorcy jakiś procent. Policja wpadła jednak na trop i przed paru dniami uwięziono uczestników. — Szarlotta wymknęła się prawdziwym cudem, nie była atoli pewną, czy nie zostanie jeszcze wmieszana w tę skandaliczną aferę, która nabrała wielkiego rozgłosu i coraz szersze zataczała kręgi.

Och, jakże pragnęła utrzymać się jako tako na powierzchni! Jak drżała na myśl, że epilog jej kariery może się rozegrać w więzieniu. A przecież tylko konieczność zdobycia środków do życia pchnęła ją do tego kroku! Gdybyż nareszcie zdobyć trwały grunt pod nogami i mieć zapewnione jutro... Jedynym sposobem dotarcia do tej przystani była teraz Ewa. To też z uporem tonącej, uczepiła się tej ostatniej deski ratunku.

* *
*

Ewa wróciła koło południa zgnębiona bezowocnymi poszukiwaniami. Powoływała się wszędzie na anonse, ale wszędzie odprawiono ją z kwitkiem. Rzuciwszy okiem na jej wytworną urodę, pani domu oświadczyła, że miejsce już zajęte, albo pytała o świadectwa.

Matka kiwając głową wysłuchała jej opowiadania.

— Tak, ty przecież zgoła nie znasz życia i nie masz wyobrażenia, co to znaczy walka o chleb. Dzisiejsza próba może ci już trochę otworzyła oczy. Radzę ci też jeszcze raz: wracaj do Wendenburga.

Ewa przycisnęła ręce do skroni.

— Och, nie dręcz mnie na próżno. To wykluczone.

— Ale ja nie mogę na to patrzeć, byś z powodu niemądrych mrzonek zmarnowała sobie życie. Bogactwo zapewnia człowiekowi spokój i szczęście, nędza go łamie i zatruwa goryczą. Gorzko kiedyś pożałujesz, jeśli nie posłuchasz mojej rady.

Z twarzą bladą i zmęczoną, lecz pełną stanowczości, Ewa postąpiła ku matce.

— Raczej zginę z nędzy, niżbym miała wracać tam, skąd zmuszona byłam uciekać. Proszę cię przeto, postawmy krzyżyk nad tą kwestią.

Szarlotta zmrużyła oczy i lekceważąco wzruszyła ramionami. Ale po południu napisała do Wendenburga, że Ewa jest u niej, a ona najsurowiej potępia ten nierozważny czyn córki, który przypisuje chwilowemu rozdrażnieniu; jest jednak pewną, że rychło zdoła ją nakłonić do powrotu.

List ten wysłała w tajemnicy przed Ewą. Poza tym starała się być dla niej nad wyraz uprzejmą i miłą. Zabawiała ją na wszelkie sposoby i Ewa musiała sobie powiedzieć, że matka, o ile chce, może jeszcze teraz być czarującą kobietą. Raziły ją tylko teatralne frazesy i ruchy, z którymi nie umiała się oswoić.

Tak spędziły popołudnie. Wieczorem Szarlotta wszelkimi sposobami starała się nakłonić córkę, by poszła z nią do teatru, a później spotkają się gdzieś ze znajomymi. Ewa odmówiła spokojnie, lecz stanowczo. Na teatr nie ma teraz pieniędzy, a jej poglądy nie pozwalają chodzić w nocy po restauracjach bez opieki męskiej.

— Nie bądźże śmieszną! Chyba nie masz zamiaru żyć w zamknięciu jak zakonnice. A wstęp do teatru mam wolny, dzięki moim stosunkom.

— Z których ja korzystać nie chcę — rzekła Ewa, ściągając brwi.

— Masz istotnie poglądy zacofanej parafianki Nie bądź taką małostkową. Rozerwiesz się trochę i poznasz ludzi z najlepszej sfery. Przekonasz się, że obcuję w najwyższych kołach towarzyskich.

— Bardzo możliwe. Nie wątpię, że masz dobre intencje, proszę cię jednak, pozwól mi zostać w domu. Nie jestem zresztą przyzwyczajona kłaść się tak późno, a jutro muszę znów wstać wcześnie, by w dalszym ciągu starać się o zajęcie.

— Dzisiejsza próba ci nie wystarcza?

— Byłoby źle, gdybym się tak szybko pozwoliła zniechęcić. Muszę coś znaleźć, zanim wyczerpią się moje pieniądze. Znajdzie się chyba praca dla człowieka, który uczciwie chce pracować na chleb.

Szarlotta zaśmiała się szydersko.

— O sancta simplicitas — czekaj tylko, bardzo rychło opuścisz ty skrzydła. Dobrą wolą nie zajdziesz daleko. Ba, gdyby to wystarczało! Przecie nie masz nawet świadectw.

— W najgorszym razie poproszę o nie wuja Wendenburga.

Podobny pomysł! Mogę tylko powtórzyć raz jeszcze: posłuchaj mojej rady i wyjdź za Wendenburga.

— Nigdy!

Stanowczość, z jaką powiedziała to jedno słowo, zmusił Szarlottę do zamilknięcia. W każdym razie musiała sobie powiedzieć, że na razie nic się zrobić nie da. I znowu wyszła wieczorem sama.

Ewa siedziała przez chwilę przy otwartym oknie i przyglądała się ruchowi ulicznemu. Następnie przyszła pani Krauze i serdecznymi słowami starała się jej dodać odwagi.

Ewa czuła się tak samotną i opuszczoną, że słowa starej kobiety odczuła jak dobrodziejstwo. Uścisnęła jej szorstką kościstą rękę i rzekła uprzejmie:

— Ja nie tracę odwagi tak szybko, ale jestem pani bardzo wdzięczna za słowo pociechy.

* *
*

Ewa znów wyszła próbować szczęścia: może się jej dziś uda dostać jakieś zajęcie. Niezadługo po jej wyjściu zbudzono Szarlottę, gdyż przyszedł listonosz z przesyłką pieniężną. Szybko narzuciła szlafrok i podpisała przekaz.

Omal nie krzyknęła z radości, zobaczywszy, że przesyłka opiewa na tysiąc marek. Na przekazie był krótki dopisek:

„Proszę się starać, by Ewie na niczym nie zbywało. Równocześnie wysyłam list. Wendenburg.“

Po odejściu listonosza, Szarlotta triumfująco podniosła do góry rękę z banknotami.

— Muszę się starać, by mi to źródło nie wyschło. Nie jest więc nie przejednany, a mój list wywarł widocznie dobre wrażenie — mruknęła do siebie. Od razu zaczęła się zastanawiać, jak zużytkuje pieniądze. Przede wszystkim musi mieć nową suknię popołudniową.

Czy może też sobie pozwolić na ten prześliczny kapelusz, oglądany wczoraj na wystawie? Wściekle drogi co prawda, ale teraz nie potrzebuje się chyba liczyć z każdym groszem. Ma na razie sporą sumę, a gdy ją wyda, Wendenburg nadeśle znowu. Ach, nareszcie będzie mogła odetchnąć swobodniej! Gdyby tylko ta sprawa z policją nie miała epilogu... Nie, nie, nie chcę nawet myśleć o czemś tak okropnym... nie chce sobie zakłócać chwili tak radosnej.

Zaledwie Ewa stanęła na progu, podbiegła ku niej i wykrzyknęła triumfująco:

— Skończyła się nasza bieda! — Wendenburg przysłał tysiąc marek.

Ewa pobladła.

— Nic więcej? — spytała trwożnie.

— Czego chcesz jeszcze?

— Listu.

— Ach... dopisał parę słów. List wysłany równocześnie. Ale to mniej ważne. Główna rzecz pieniądze.

— Dla mnie główną rzeczą list.

Szarlotta zaśmiała się.

— Och, coś mi to wygląda na sentymentalną tęsknotę.

— Bo też tęsknię niewymownie za słowem wybaczenia.

— Głupstwo! Chyba banknot tysiącmarkowy jest wybaczeniem dostatecznie wymownym.

Ewa potrząsnęła głową. Pragnęła innego dowodu, że ucieczki jej opiekun nie uważa za czarną niewdzięczność. Gorączkowo czekała wiadomości o trojgu ludzi, będących dla niej całym światem. Prawie nie słyszała, jakie plany snuła Szarlotta; raz po raz odczytywała krótki dopisek wuja.

Po południu Szarlotta wyszła do magazynu dla skompletowania swej garderoby. Na ukłon gospodyni, która zamykała za nią drzwi przedpokoju, zaledwie raczyła lekko skinąć głową.

Ewa wypisała sobie znowu kilka ogłoszeń z dziennika i całe popołudnie biegała za zajęciem, z tym samym ujemnym wynikiem jak przed południem. Nie lepiej powiodło się jej też następnego dnia. Napisała znów kilka ofert i czekała odpowiedzi.

Po południu nadszedł list od Wendenburga, zaadresowany do matki.

Szarlotta zajęta przymierzaniem nowej sukni, chciała odłożyć list.

— Och, proszę, otwórz go, może wuj dołączył coś dla mnie — rzekła drżącym głosem.

Szarlotta rozerwała kopertę. Istotnie był w niej także list do Ewy. Podała jej go z uśmiechem.

— No, gdyby twój wuj widział, z jak gorączkowym pośpiechem zabierasz się do listu od niego, nie traciłby nadziei — zażartowała.

Ewa nie odpowiadając usunęła się z listem do niszy pod oknem. List do Szarlotty był krótki i zwięzły.

„Otrzymałem list Pani i dziękuję za dobre chęci. Nie życzę sobie jednak, by Pani w jakikolwiek sposób wpływała na Ewę. Na krótki czas musi zostać u Pani, uprzedzam atoli, że musi jej Pani pozostawić zupełną swobodę, a przede wszystkim nie narzucać jej swych znajomości. Jeśli Pani zastosuje się do moich życzeń, zobowiązuję się w zamian zabezpieczyć przyszłość Pani. Dla Ewy znajdę w najbliższym czasie odpowiednie środowisko. Dalsze szczegóły w liście do Ewy.“

Szarlotta skrzywiła się po przeczytaniu.

Bardzo kategorycznie i z góry... jak przystoi milionerowi. Ostatecznie nie oczekiwałam czułości. Grunt to, że przyrzeka zabezpieczyć mi przyszłość. Ach Boże! nareszcie pozbędę się tych trosk ustawicznych... odetchnę.

Myśl o policji zakłóciła jej rojenia, a chcąc ją odpędzić, zwróciła się ku Ewie. Po twarzy dziewczyny spływały grube łzy.

— O Boże, ten sentymentalizm. Nie ma między nami ani śladu podobieństwa. Całkiem się wdała do ojca. Lukrecja z cukrem... Brrr! Coś wstrętnego...

Ewa tymczasem w głębokiem wzruszeniu odczytywała list Wendenburga.

„Moje biedne, kochane dziecko!

Jestem niepocieszony, że postąpiłem bez zastanowienia. Wybacz i staraj się zapomnieć, że Twój stary głupi wuj marzył na chwilę o szczęściu. I nie trap się, kochanie, z mojego powodu — już ja się jakoś uspokoję i przezwyciężę to rozczarowanie. Byłoby nazbyt pięknie...

Teraz będę znów Twoim wujem i opiekunem. Nie mogę sobie wybaczyć, że tym szalonym krokiem zmusiłem Cię do opuszczenia mego domu. Rozumie się, że natychmiast przyjechałbym po Ciebie, ale Twoje wyznanie uniemożliwia mi takie załatwienie sprawy. Ogromnie mi przykro, że i Ty musisz cierpieć, ale na to nie ma już rady. Serce ludzkie ma swoje własne prawa i nie liczy się z argumentami rozumu. Bernard mógł kochać tylko jedną z was, a wybór jego padł na Gabrielę. Musisz przeboleć, drogie dziecię i starać się uspokoić. Współczuję Ci jednak całym sercem.

Nie sądź atoli, że pozwolę, byś się szarpała w walce o chleb, do której nie jesteś wcale przygotowaną. Jesteś i pozostaniesz nadal moją pupilką, nad którą będę czuwał jak dotąd. Bardzo mnie niepokoi, że zamieszkałaś u swojej matki, lecz rozumiem, że na razie nic innego uczynić nie mogłaś. Proszę Cię jednak, unikaj w miarę możności jej znajomych. Ważne powody skłaniają mnie do wyrażenia tej przestrogi. Postaram się jak najprędzej znaleźć dla Ciebie inne otoczenie.

I porzuć, proszę, dalsze poszukiwania posady. Najlepiej okażesz mi swoje przebaczenie, jeśli jak dotąd, będziesz się uważać za moją pupilkę i siostrę Gabi.

Matce Twojej będę posyłał pieniądze, by Ci na niczym nie zbywało, a po Twoim wyjeździe wyznaczę jej odpowiednią pensję dożywotnią.

Nie trap się więc o nic, moje drogie biedne dziecko i pisuj do mnie często, bym nie miał powodu do niepokoju. Gabi pozdrawia Cię serdecznie. Gorzkiemi łzami oblała Twój wyjazd. W najbliższych dniach sama napisze do Ciebie.

Serdecznie Cię pozdrawia

Twój stary wuj

Wendenburg.“

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 14 marca 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja ze Słupi (nabożeństwo) 10.03 Poranek symfoniczny z Katowic 13.45 Muzyka (płyty) 14.00 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 14.30 Regionalna transmisja z Bralina 15.30 Audycje dla wsi 16.30 Premiera słuchowiska „Wiedźma" 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 „Idzie Molski, w ręku oda" — szkic literacki 19.20 Muzyka baletowa (płyty) 21.00 „Zamki na lodzie" — wesoła syrena 21.30 Recital skrzypcowy Eugenii Umińskiej 22.00 Orkiestra Wileńska 23.00 Muzyka lekka (płyty).

Poniedziałek, dnia 15 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Jascha Heifetz gra (płyty) 12.50 „Plotki sąsiedzkie" — pogadanka 15.15 Kwintet Stefana Rachonia 15.55 „Wszystkiego po trochu" — aud. dla dzieci 16.30 Parafrazy fortepianowe znanych melodyj (płyty) 17.05 „Wiedza społeczna a życie społeczne: „Socjolog a praktyk" — odczyt 17.20 Al. Greczaninow: Kwartet G-Dur 17.50 „W gościnie u bobrów" — pogadanka 18.00 „O naukowej organizacji w Polsce — przemówienie Piotra Drzewieckiego 19.00 „Wiosna węglarza" — obrazek z powieści 19.20 „W kraju wina i czardasza" — aud. w dniu święta narodowego Węgier. 20.05 Recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego 21.00 „Cola Rienzi" — fragment słuchowiskowy 21.30 Mała Orkiestra Polskiego Radia 22.00 Koncert symfoniczny w wyk. orkiestry P. R. 23.00 Muzyka lekka (płyty).

Wtorek, dnia 16 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Popularna muzyka polska w wyk. ork. dętej K.P.W. 16.30 Franciszek Schubert: Wanderer fantasie C-Dur op. 15 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.15 „Muzyka chińska" (płyty) 19.00 „Dyskutujmy": „Jedna czy wiele organizacyj młodzieży 19.20 „Natałka — Połtawka" — ukraińska opera 21.00 „Walczyki panny Teodozji" — aud. muzyczna 21.40 „Szczerość w poezji" — szkic literacki 22.00 Koncert zespołu śpiewaczego „Motet i Madrygał" i orkiestra Radiofonii Szwajcarskiej (transmisja z Lozanny). 22.30 Muzyka z kawiarni „Cafe Club" w Warszawie.

Środa, dnia 17 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka operowa (płyty) 15.15 Trio Polskiego Radia 16.25 „Tysiąc i jedna noc" — suita Sergiusza Bortkiewicza 17.00 „Kampania inflancka Marszałka Śmigłego Rydza" — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 Rozmowa z Elizą Orzeszkową — wywiad fikcyjny 19.00 Audycja żołnierska 19.20 Mała Orkiestra Polskiego Radia 21.00 „Opowieści o Chopinie" — wieczór 12-ty — „W zamkach Szkocji 21.45 Gabriel Faur'e: Kwartet fortepianowy g-moll op. 45 22.20 „Śpiewy Mickiewicza i Filaretów" — audycja muzyczna 23.00 Muzyka lekka (płyty).

Czwartek, dnia 18 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych. Transmisja z Filharmonii Warszawskiej 12.03 Mała Orkiestra Polskiego Radia 15.15 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 15.40 Polskie pieśni ludowe w wyk. I Warsz. Miejskiego Koła Śpiewaczego 16.35 Kwartet solowy rozgłośni krakowskiej 17.00 „Zmartwienia świąteczne pani domu" — odczyt 17.15 Współczesna muzyka polska" — płyty 17.50 „Książka i wiedza". „O pamiętnikach Bolesława Limanowskiego" — odczyt 19.00 Premiera słuchowiska „Matka" 20.30 Polskie pieśni ludowe w wyk. Chóru Międzyszkolnego m. st. Warszawy 21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich — Stefan Malinowski" 21.55 Polska muzyka lekka i taneczna w wyk. Małej Orkiestry.

Piątek, dnia 19 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert południowy 12.50 „Smaczne a tanie święcone w chacie" — pogadanka 15.15 Arie i pieśni polskie (płyty) 16.30 Muzyka polska w wyk. Reprezentacyjnej Ork. P.P. 17.10 Pieśni Witeloraudy Stan. Moniuszki 19.00 „Długie nocne rodaków rozmowy" — fragment z książki 19.20 „Audycja ku czci Wielkiego Marszałka" 20.15 Międzynarodowy koncert egipski 21.35 „Z oper moniuszkowskich" 22.40 Recytacje fragmentów z pism Marszałka J. Piłsudskiego.

Sobota, dnia 20 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół „Śpiewajmy piosenki" 12.03 Orkiestra salonowa pod dyr. T. Rydera 14.30 Słuchowisko dla dzieci młodszych: „Wyprawa po promyk słońca" 15.15 Koncert rozrywkowy 16.15 „Operetki francuskie" w wyk. Ork. A. Hermana 17.00 Koncert solistów 19.00 Audycja dla Polaków za granicą": „Jasna Góra" 19.30 Godzina lekkiej muzyki 21.00 Wyjątki z oper komicznych (transmisja z Berlina) 2.200 „Psychoanaliza" humoreska 22.30 Mała Orkiestra Polskiego Radia.

HUMOR

Nie ustąpił

Panowie Apfelgruen i Kackower spotykają się po dziesięciu latach niewidzenia. Jeden przed drugim niemożliwie blaguje na temat — gdzie on był, co widział, czego dokazał na szerokim świecie...

Apfelgruen opowiada, że studiował inżynierię i że w całej Europie powznosił najbardziej godne uwagi rzeczy. Między innymi mówi:

— Naturalnie jechał pan, panie Kackower z Francji do Włoch — tam na granicy są Alpy.

— Wiem.

— To nic Alpy — ale widział pan tam na prawo te wielkie nowe góry?

— Przypuśćmy, że widziałem — to co?

— To właśnie te góry ja zbudowałem!

Na to Kackower, widząc, że jest przewyższony, mówi:

— A pan, panie Apfelgruen, kiedy pan był w Palestynie, jak pan opowiada, to pan oglądał tam Morze Martwe?

— Naturalnie...

— No ta ja je własnoręcznie zabiłem!

Awansował

— O mój syn bardzo poszedł w górę — przechwala się pani Antoniowa.

— Co pani mówi? — dziwi się pani Walentowa.

— A tak, przedtem był pucybutem, a teraz jest fryzjerem.

Przytomność umysłu

— Okropne! Pod łóżkiem jest włamywacz! Cóż teraz poczniemy.

— Najlepiej będzie dzisiejszą noc spędzić w bibliotece.

Różnica

— Właśnie czytałam, że Abisyńczycy sprzedają swe żony. Czy ty byś mnie sprzedał komuś?

— Nie, ja bym ciebie podarował.

W sądzie

Sędzia: — Niech oskarżony nie stara się wykręcać od winy. Zostaliście przychwyceni przez posterunkowego na gorącym uczynku ściągania butów z nóg śpiącego na ławce podchmielonego jegomościa... więc co macie na swoją obronę?

Oskarżony: — Ano, panie sędzio, ten pan tak przez sen stękał, że ja, myśląc, iż go buty gniotą, zdjąłem mu je z nóg.

Wzorowe małżeństwo

— Panie Hufnagel, gdzie pan wysyłasz w tym roku żonę na zimę?

— Tam, gdzie zwykle.

— Do Zakopanego?

— Nie!

— Tylko dokąd?

— Do wszystkich diabłów!

Tańszy sposób

— Mężusiu, potrzebuję pieniędzy na nową suknię... ta nieznośna sąsiadka z przeciwka znowu sobie sprawiła komplet tego samego koloru co ja!

— Wiesz — zatelefonuj lepiej do biura przeprowadzek — zmienimy mieszkanie!

Na wypadek

— Powiadasz, że nic się stać nie może póki twoja godzina nie wybije. A gdy idziesz do lasu, bierzesz rewolwer.

— Bo, widzisz, mogę tam spotkać bandytę, którego godzina właśnie wybiła.

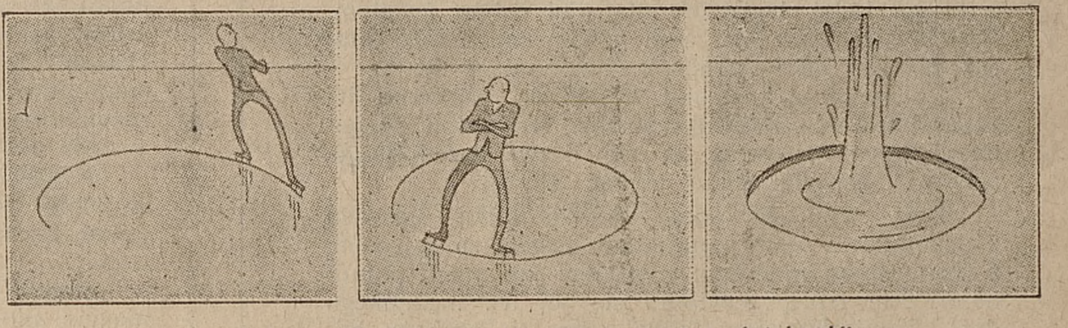
Odpowiedzi redakcji

P. M. K. Łódź. Konikówki otrzymaliśmy, niestety, mają one niedociągnięcia. Pozdrawiamy!

„Jedynaczka z Podlasia". Prośbę Pani weźmiemy pod uwagę może już w najbliższej przyszłości. Pozdrawiamy Panią i dziękujemy za pamięć.

P. Leonard K. Pleszew. Sprawą Pana zainteresowaliśmy się i przypuszczamy, że teraz nie będzie już Pan miał powodu do uskarżań się. Serdecznie pozdrawiamy.

P. F. M. Grudziądz. Przy wyborze następnych powieści, pomyślimy o projekcie Pana. Łączymy miłe pozdrowienia.



...tak bywa, gdy łyżwy są zbyt ostre, a łyżwiarz zbyt krewki!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajk itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pism, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.